Nr. 45. Warszawa, dnia 25 Października (6 Listopada) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PATOLOGIA POLITYCZNA.

W czwartek i piątek ubiegłego tygodnia powtórzyły się znowu w Wiedniu sceny z przed pojedynku p. Badeniego z Wolfem: odbyto dwadzieścia kilka głosowań imiennych; Niemcy krzyczeli, wyli, śpiewali wesołe piosenki, bębnili pięściami w pulpity, porywali się do trybuny prezydyalnej, którą dla bezpieczeństwa ogrodzić musiał żywopłot z posłów prawicy. Posiedzenie zaczęto o godz. 12-ej, d. 28 z. m., od godziny 4-ej poświęcone rozprawom nad projektem ugody tymczasowej z Węgrami, skończyło się dopiero nazajutrz po godzinie 8-ej wieczorem, nie wydawszy żadnego zgoła wyniku. Święta opóźniły posiedzenie następne do czwartku bieżącego tygodnia, ale opóźnienie to, dające lewicy czas do namysłu, nie wyjdzie prawodawstwu na pożytek: z pogróżek niemieckich widać, że jutro będzie podobne do wczoraj. Cała taktyka polega na tem: kto kogo fizycznie przetrzyma. Niemcy-opozycyoniści mają i bary i pięści i gardła i płuca mocniejsze, mają i górującą nad tym kitem umysłowo-uczuciowym, który spaja prawicę, namiętność. Ich poseł, Lecher, mówił przez dwanaście godzin, przeciwko ugodzie — z Węgrami? O tem mało, ale za to wiele o ugodzie z prawicą, o potrzebie wytrwania w oporze. Nie można mu było odebrać głosu, bo wciąż do przedmiotu powracał, aby napowrót się od niego oddalić. Chwiejność katolików Dipaulego udaremniła zamiar wiceprezesa Abrahamowicza, aby zarządzić głosowanie sekcyami. Ostatecznie, głupstwo rozum zjadło; opozycyoniści zwyciężyli—i nieraz jeszcze zwyciężą. Czem się to skończy, jeśli cesarz nie wymiecie dzisiejszej Izby, a naród nie da mu lepszej? Co będzie, jeśli oddali p. Badeniego i pozwoli znieść rozporządzenia o języku urzędowym? Ale to sprawa dwóch ojczyzn: austryackiej i niemieckiej. Oprócz tej sprawy jest jeszcze inna.

Każdy człowiek myślący o polityce i zadaniach politycznych państwa nowożytnego w epoce obstrukcyonizmu angielskiego, bulanżerówki parlamentarnej, rozwydrzenia się sejmowego we Włoszech (za Crispiego) i wreszcie tej najogromniejszej ze wszystkich ruchawki namiętności, którą widzimy teraz w Wiedniu, stawiać sobie musi pytanie: Czy na to wybryki, podkopujące parlamentaryzm w Europie, i samą wolność, niema już żadnego ratunku? Obostrzenie regulaminu? Zapewne, ale może ono być niebezpiecznem dla prawa jednostki i prawa mniejszości; sprawiedliwe jego stosowanie przypuszcza jako warunek niezbędny w większości takie dane, których żadne przepisy do wnętrza człowieczego nie wprowadzą. Ostatecznie wszystko zależy od człowieka, od machin pracujących, zbudowanych przez naturę i wychowanie; ale na hypotezie porządku wewnętrznego opierać porządek zewnętrzny — byłoby marzeniem niegodnem statysty: polityka właśnie wychodzić musi z założenia, że człowiek powołany do funkcyi jest najgorszym, a pomimo to użytecznym być musi. Wszelako rozumny, surowy, egoizmu natury i egoizmu stronnictw świadomy i osadzać je umiejący regulamin jest zawsze i wszędzie niezbędnym, a zasada, że tylko porządna wolność jest wolnością, za którą warto życie położyć, nigdy tak gorąco palać nie powinna z politycznego umysłu, jak przy układaniu przepisów, krępujących indywidualizm w ciałach prawodawczych. Ciała to są jestestwami oderwanemi, umysłowemi: w teoryi składają się z *umysłów*, w praktyce składać się mogą tylko z *ludzi*: jak najwięcej zatem zmysłowości tłoczącej umysł zrąbać człowieka— taki winien być cel prawodawcy.

Możeby się znalazły jeszcze i inne środki, gdyby nad niemi pomyśleć chciano. Przedewszystkiem całe urządzenie sejmowania od początku prac wyborczych do końca prac prawodawczych z gruntu przetworzyć by potrzeba. Sejmowanie w najrozleglejszem pojęciu zorganizowane być powinno jako funkcya społeczna, stała, wiekuista, z życiem i z czasem razem biegnąca, z pod wszelkich zewnętrznych podniet i hamulców, wpływów dodatnich i ujemnych wyzwolona, samoistna jak organ natury — znająca tylko jednę podległość: syntezy i harmonii. W pewnych ściśle oznaczonych terminach z przyrodzonych grup społecznych wychodzić powinni pełnomocnicy społeczeństwa, którzy jako suma jednostek również samym upływem czasu prawodawczą i nadzorczą moc swoją by tracili. Sejm sam by się ustawicznie odradzał, nie czekając na niczyje wezwanie; sam miałby swą wolę i rozsądek rządzący, wosobiony we wła-

snych urzędników; sam, od najniższych do najwyższych swych szczebli genetycznych, byłby dla siebie i rządem i sądem; sam przepisywałby dla siebie porządek idealnych funkcyj państwowych i materyalnych funkcyj ściśle sejmowych — narad w Izbie i w komisyach. Na posiedzenia zwoływałby go również sam czas, pewien konstytucyjny termin, i w konstytucyjnym też terminie ustawałyby co rok jego czynności. W nadzwyczajnych wypadkach sejm taki z własnej woli zbierać się powinien i nikt nie mógłby mu konstytucyjnie zebrania się zatamować. Angielskie rozwiązywanie parlamentu musiałoby ustąpić przed amerykańską wieczystością zgromadzeń, wcielających w siebie wolę i opatrzność społeczną.

Tak zorganizowany sejm, samoistny w swej istocie, ale w bycie krępowany przez czas, z czynnościami ujętemi w karby porządku, z regulaminem wydobywającym umysł i rozum z pod zmysłowości i popędu, a tępiącym gadulstwo, mógłby bezpiecznie zapewnić swym mniejszościom swobodę działania, nie lękając się obstrukcyonizmów, arlekinad i ulicznikówskich wybryków. Sejm odtwarzający społeczeństwo, będący, jego jakby zgęszczeniem, z samego prawa swego początku, bytu i celu, musiałby jaknajsilniej wyróżniczkowanie się społeczne w sobie odbijać. Właściwie społeczeństwo całe wytwarzałoby jedno kolegium wyborcze, a każde stronnictwo dostawałoby dla siebie posłów w stosunku do swej liczebności.

Dla przyspieszenia prac prawodawczych, dla oszczędzenia czasu, lekkomyślnie teraz marnowanego, każdy projekt przychodziłby do izby dopiero po przejściu przez specyalną komisyę wszystkich stronnictw. Projekty same powinnyby być zwięzłe i nie zajmować się drobiazgami. Po upływie pewnych terminów i spełnieniu się pewnych okoliczności, projekt stawałby się prawem, jakkolwiek nie byłby jeszcze ostatecznie uchwalonym. Stronnictwa, mając miecz nad głowami, wiedziałyby, co je czeka i nie dopuszczałyby fataliów. Wyzwolenie sejmu wyzwoliłoby we właściwym zakresie i rząd, t. zw. władzę wykonawczą; ograniczając ją, spotęgowałoby jej moc i działalność. Projekt rządowy nieuchwalony w swoim czasie stawałby się tak samo prawem, jak i projekt z łona sejmu wyszły. Budżety w pewnych działach byłyby stałymi i nie potrzebowałyby być w całości co rok uchwalane. Gdyby sejm budżetu na czas nie uchwalił, rząd gospodarowałby według budżetu z roku poprzedniego. Na każdym kroku przyświecałaby myśl, że życie państwowe musi mieć potrzeby swe zaspokojone, a gdy jeden organ obsłużyć go nie umie, zastąpić go musi drugi. Władza nie jest stanem posiadania i używania: jest funkcyą; ma nietylko prawo, ale i obowiązek działania.

Tydzień polityczny. Cesarz Wilhelm bawił w piątek, dnia 29 z. m., godzinę całą u kanclerza Hohenlohe i z tego bawienia zrodziła się zaraz wiadomość, że reforma procedury wojskowej, choć nie pożądana dla Cesarza, wejdzie na radę związkową z widokami przejęcia. Tak więc kanclerz książęcego słowa dotrzymał; zostaje tylko dlatego, że cesarz Wilhelm ustąpił. W Prusiech taka stałość jest rzadką.

W Wiedniu pogłoski o dymisyi p. Badeniego i pogróżki niemieckie, że nowy czwartek będzie powtórzeniem dawnego. Nie słychać o rozwiązaniu Izby, o rozporządzeniu samego cesarza, wprowadzającem ugodę tymczasową. Stronnictwo Dipaulego ciągle między młotem a kowadłem. Niemcy niemieccy w Berlinie urządzają manifestacyę braterstwa dla austryackich: dalszy ciąg manifestacyi profesorskiej z lata r. b. Patryoci z Czech pospieszą na północ. Policya berlińska, pozwoliwszy na samo zbiegowisko, namyśla się teraz: czyby nie ograniczyć napływu bratniego żywiołu z południa. Wolfowi już zapowiedziała, że mówić mu nie pozwoli. Prof. Momsen wzywa Niemców austryackich do wytrwałości i z prawdziwie profesorską sofistyką uspakaja ich, że przeciw nieprzyjacielowi, gwałcącemu sprawiedliwość, wszelkie środki są dobre. Pogwałceniem sprawiedliwości były rozporządzenia. Zatem: jedność i siła! W czerep czeski nie wejdzie rozum, ale cios się go imie: zatem rąbać! I to hasło także i taką charakterystykę rzeczywistych stosunków — daje z siebie uczony historyk!

Francya bawi się teraz Dreyfusem i Scheurer-Kestnerem: pierwszy jakoby uciekł z miejsca kaźni w Gujanie, drugi głosi, jakoby zbiegły był niewinnie skazanym. Dzienniki mają o czem pisać.

Gen. Blanco d. 30 z. m. zawinął do Hawany. Wydał zaraz odezwę o autonomii. Weyler wyjechał.

W Serbii wrzenie przedrewolucyjne.

Pokój jeszcze nie podpisany. Rozbija się o kapitulacye.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PRZESZKODY.

Bardzo żywo zajęła uwagę publiczną i wywołała mnóstwo artykułów dziennikarskich sprawa politechniki w Warszawie. Szkoła niewątpliwie powstanie u nas i zaspokoi olbrzymi dział produkcyi siłami fachowemi. Ale jak powstanie? Wogóle warto się zastanowić nad tem, jakiemi drogami idą sprawy zakładania szkół specyalnych i o ile te drogi pozostają w rozterce z interesami społeczeństwa. Przed ośmiu laty ogłoszono nową ustawę zakładania i działania szkół fachowych. Powiedziano tam, iż utrzymywać nowe zakłady będą: państwo, ziemstwa, towarzystwa, osoby prywatne lub też wogóle wszystkie te instytucye i ludzie pojedyneczy z połączonym udziałem. Obmyślano wtedy 23 typy takich szkół, obejmujących szerokie i urozmaicone gałęzie nauczania fachowego. Wszystko, co tylko wchodzi w zakres wiedzy techniczno-przyrodniczej i może być stosowane w przemyśle, miało wejść w program wykształcenia fachowego. Zdawało się, że ustawa, dająca wskazówki, programy i szerokie prawa „inicyatywie prywatnej,“ wpłynie na olbrzymi rozwój tych szkół, a zarazem na przekształcenie gruntowne warunków pracy fachowej. Niestety, niewiele dotąd mamy rezultatów. Zarówno w Cesarstwie, jak i Królestwie w tym okresie ośmioletnim powstało zaledwie kilka szkół. Inicyatywa zaś prywatna pomimo „ułatwień,“ wskazanych w ustawie, niewiele zdziałać mogła, bo „ułatwienia“ pozostały na papierze. W rzeczywistości zaś zawiłość formalisty-

---

26)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Więzienie w nocy.

Noc zimna, ciemna, nieksiężycowa, Gwiazdy tylko świecą.

Po ogromnem podwórzu więziennem tu i tam przesuwają się światełka latarni. Nic nie widać, ale można odczuć obecność i życie tłumu.

Zatrzymujemy się przed wysoką, czarną sylwetką jakiegoś budynku. Jest to kaplica na środku podwórza.

— Zdjąć czapki! — rozlega się komenda. — Do modlitwy! Zaczynać!.

— „Chrystus zmartwychwstaje“... — rozlega się w ciemnościach.

Śpiewają setki ludzi niewidzialnych.

Wszędzie na wszystkie strony, zblizka i zdaleka słychać głosy.

Jakgdyby ta cała otchłań ciemności zaśpiewała.

Ten hymn zmartwychwstania, pieśń tryumfu zwycięztwa nad śmiercią — w takich warunkach! Robiło to wrażenie wstrząsające.

Chór niewidzialny odśpiewał jeszcze kilka modlitw i rozpoczął się przegląd.

Z powodu spóźnionej pory nie było wywoływania; poprostu liczono ludzi.

Podniósłszy latarnie do wysokości twarzy, dozorcy szli koło szeregów i liczyli aresztantów. W świetle na chwilę ukazywały się twarze stare, młode, znużone, surowe, odpychające i natychmiast znowu znikały w ciemnościach.

Na końcu każdego oddziału latarnia oświetlała starszego w porządnej odzieży.

— Siedemdziesiąt pięć? — zapytał dozorca.

— Siedemdziesiąt pięć — brzmiała odpowiedź.

Starszy dozorca zameldował i oznajmił inspektorowi, że wszyscy są obecni.

— Spać!

Tłum poruszył się. Ciemność dokoła jakby ożyła. Rozległo się stąpanie, rozmowy, westchnienia, ziewania.

Znużeni całodzienną pracą skazańcy śpiesznie zdążali do cel.

— Kto idzie? — zawołał szyldwach przy więzieniu kajdanowem.

— Kto idzie? — powtórzył rozpaczliwie, gdyśmy się zbliżyli.

— Pan inspektor! Czego się drzesz?..

Przeszliśmy koło bramy.

Szczęknął ogromny zamek; kłęb pary wilgotny, stęchły uderzył przez drzwi otworzone i weszliśmy do jednego — „z numerów“ oddziału kajdanowego.

— Baczność! Powstać!

Nasza obecność zbudziła drzemiące kajdany.

Zabrzęczały, szczęknęły, zadzwoniły swym brzękiem przykrym.

Czuło się ciężar śród tego brzęku kajdan w półmroku więziennym. Spojrzałem na ściany. Legły na nich jakieś szerokie cienie, pasy. Jakby jakiś pająk olbrzymi rozsnuł swoją pajęczynę. Jakby ogromne nietoperze przyczepiły się tam i wisiały

To były gałęzie jodły, zawieszone dla odświeżenia powietrza.

Czuć było wilgoć, pleśń i wyziewy.

Okutych w kajdany wywoływano po nazwisku.

Przechodzili oni koło nas, dzwoniąc kajdanami, a na ścianach posuwały się potworne, olbrzymie cienie.

W jednym oddziale było dwu „taczni-

ki, jest tak wielka i uciążliwa, iż najenergiczniejsze zabiegi muszą albo się o nią rozbijać, albo bardzo długo kołatać. Mieliśmy tego wymowny przykład w staraniach około założenia szkoły sobieszyńskiej.

Na trudności tego rodzaju niedawno zwrócił uwagę prof. Bogusławski w *Now. Wr.* Wykształcenie techniczne pozostaje pod opieką kiku wyższych władz państwowych. Sprawa zaś tak pilna może być załatwiona nie wcześniej, aż *pięć ministeryów:* oświaty, komunikacyj, skarbu, spraw wewn., rolnictwa i dóbr państwa, porozumieją się między sobą i zgodzą się dać społeczeństwu to, czego ono tak bardzo żąda." O wielkiej trudności takiego porozumienia świadczą przykłady następujące:

„W proponowanej politechnice powinien być wydział górniczy. Brak dostatecznej liczby inżenierów-górników jest powszechnie znany. Na Uralu znaczną liczbą zakładów górniczych kierują ludzie, nieposiadający w wielu razach nietylko średniego, ale żadnego wykształcenia. Inżenierowie - górnicy pracują głównie w przedsiębiorstwach rządowych i w tych tylko prywatnych, które są własnością ludzi bogatych, opłacających kierowników lepiej, niż skarb opłaca dyrektorów departamentu. Fakty te są wymowne, a jednak cóż się dzieje w praktyce? Oto gdy w komisyi, roztrząsającej sprawę wykształcenia zawodowego, dotknięto kwestyi szkół górniczych i rolniczo-gospodarskich, na żądanie przedstawiciela ministeryum rolnictwa wykreślono tę sprawę z porządku dziennego, bo roztrząsanie jej jest wyłącznym przywilejem właściwej władzy centralnej. Gdy chodziło o wydział górniczy w uniwersytecie tomskim, departament górniczy cofnął projekt, rządząc się zasadą, że wydział ten szkodziłby instytutowi górniczemu w Petersburgu i że Syberya pożąda nie inżenierów-górników, lecz techników niższych."

Przeszkody te wogóle wpływają ujemnie na rozwój i wzrost szkół specyalnych w państwie. Taki stan rzeczy zmusza interesowanych do wyszukiwania dróg pośrednich i wskazywania sposobów prędszego zaspokojenia potrzeb społeczeństwa. Zanim rozpoczną się planowania i rozprawiania nad pożądanym typem zakładu naukowego w danych miejscowościach, trzeba właśnie wybrać takie drogi pośrednie, które zdaniem prof. Bogusławskiego mogą w pewnej mierze zaspokoić pilne potrzeby. Oto szereg tych środków zalecanych: 1) Stworzyć na pierwszych kursach wszystkich instytutów technicznych w Petersburgu kursy równoległe. 2) Liczbę godzin pracy studentów w obrębie zakładu unormować w ten sposób, żeby jedni byli zajęci od 9-ej do 4-ej, inni od 4-ej do 11-ej wieczorem, albo inaczej, jeżeli to można urządzić lepiej. 3) Za pracę podwójną dyrektorów, inspektorów płacić więcej, niż obecnie, aby nie byli zmuszeni do szukania zarobku dodatkowego. 4) Wezwać nowych profesorów do wykładu tych przedmiotów, których inni nie zechcą wykładać na obu kursach równoległych. W ten sposób inżenierowie i inni specyaliści znajdą zajęcie i pracę w godzinach wieczornych. 5) Zwiększyć personel pomocników inspektorów i innej służby instytutów.

Gdyby i te środki nie były dostateczne, to projektodawca doradza poustawiać ciaśniej meble i instrumenty w gabinetach instytutów, dać lokale rządowe tylko dyrektorom, inspektorom i różnym dozorcom, innym wyznaczyć sumy odpowiednie na najem mieszkań, lokale zaś obecnie zajmowane użyć na rozszerzenie zakładów. Stoły poprzerabiać tak, ażeby przy nich nie jeden, lecz dwu studentów mogło pracować, wreszcie zreformować instytuty tak, iżby one przysposabiały do pracy praktycznie nietylko inżenierów, którzy przeszli całkowity pięcioletni kurs nauk, lecz i techników niższych (kurs dwu lub trzyletni).

Według obliczenia prof. Bogusławskiego, na takie przekształcenie sześciu instytutów petersburskich wystarczy 300—500 tysięcy rs. rocznie, reforma zaś może być dokonana w ciągu kilku miesięcy lub nawet kilku tygodni.

Jako tymczasowe zaspokojenie znacznej części potrzeb społeczeństwa, projekt prof. Bogusławskiego ma doniosłe znaczenie i mógłby objąć nietylko Petersburg. Jak wiadomo istniał, a nawet istnieje projekt wprowadzenia rolnictwa do wykładów uniwersyteckich. Takie „rozszerzenie ścian" zakładu naukowego przydałoby się i u nas, gdyż nie posiadamy dotąd szkół rolniczych, odpowiadających potrzebie. Tymczasowość taka wymaga wszakże usunięcia nietylko tych hamulców, które projektodawca powyższy wykazał. Jak rzekliśmy, wolno „inicyatywie prywatnej" działać w zakresie stwarzania i rozwoju szkół specyalnych. Jakoż kilka z nich powstało u nas w ciągu kilku lat ostatnich. Istnienie ich oparte jest przeważnie na kapitałach prywatnych, stosunkowo niewielkich, a więc wszelkie choćby najdrobniejsze pozycye niepotrzebne w budżecie są znacznym ciężarem i zarazem hamulcem w rozwoju tych zakładów.

Z GALICYI.

Odsłonięcie pomnika Aleks. Fredry. — Śniadanie i nieobecność dygnitarzy. — Pomnik dla Ujejskiego. — Pomnik Mickiewicza i propozycye Dykasa.— Położenie Austryi i Galicya. — Niezgodność między polityką rządu a polityką Badeniego. — Zachowanie się Gautscha i Guttenberga. — „Nieprawidłowość" w Towarzystwie wzajem. ubezpieczeń w Krakowie.


Ostatnimi czasy Lwów złożył dowody, że potrfi się zdobyć na niejedną myśl i niejeden czyn pożyteczny, które mogą całe społeczeństwo zainteresować. Trzeba tylko jakiejś wielkiej idei, silniejszego uczucia, aby skleić niemi bodaj na chwilę luzem chodzący nasz świat literacki, artystyczny, a nawet naukowy.

Odsłonięcie pomnika Aleks. Fredry stało się jedną z takich uroczystości, przy której ludzie zapominają o małostkach życia, o szpilkach codziennych, wbijanych przez przyjaciół i nieprzyjaciół, a groma-

---

ków." Obaj Kaukazczycy, przykuci za ucieczki.

Jeden wysoki, silny mężczyzna, z twarzą otwartą, z wzrokiem śmiałym, w którym zapewne nigdy strach się nie odbił. Podczas wywoływania dzwoniąc kajdanami, przewiózł swoją taczkę koło nas.

Drugi spoczywał w kącie.

— A ten czego leży?

Taczник coś przemówił słabym, urywanym głosem.

— Chory on, bardzo ciężko chory. Osłabiony! — wyjaśnił Tatar-tłomacz.

Podczas modlitwy podniósł się i stał wsparty o swoją taczkę, stękał i wzdychał, przypominał swoją postacią jakieś widmo cierpiące; przy każdem poruszeniu dzwonił kajdanami.

Trudno wypowiedzieć, jakie wrażenie robi człowiek, przykuty do taczki.

Wzbudza on podziw i wywołuje pytanie:

— Po co wozi ciągle tę taczkę?

Pomimo że się to widzi własnemi oczyma, wierzyć się nie chce takiej karze!

Po skończeniu sprawdzania kajdaniarze odśpiewali modlitwę.

Dziwnie było słuchać: w „numerze" 40—50 osób, a śpiewa słabiutki chór z 7—8-miu złożony. Reszta — Kaukazczycy.

Dziwiło mię, że w oddziale kajdanowym nie śpiewano „Chrystus zmartwychwstał."

— Dlaczego? — zapytałem inspektora.

— Widocznie zapomnieli.

Ludzie ci zapomnieli nawet o tem, że teraz tydzień Wielkiej nocy!

Podział roboty.

Godzina piąta. Zaledwie świt.

Ranek mroźny. Lekka, biała warstwa szronu pokrywa wszystko: ziemię, dachy, ściany więzienia.

Przez drzwi otwarte uderza słupem para. Drapiąc się i przeciągając, wychodzą leniwie ludzie, niewyspani, niewypoczęci. Niektórzy idąc nakładają swoje szmaty; inni spiesznie przeżuwają chleb.

Nie czuć wcale zwykłej świeżości, jędrności pracy.

Ludzie stają szeregami, cieśle z cieślami, zwyczajni wyrobnicy — obok siebie.

Dozorcy ze spisu wywołują po nazwisku.

— Tutaj!.. Jest taki!.. — odzywają się różne głosy z różnych końców podwórza, to zaspane, to ponure.

— Mohammed-Bek-Iskander-Ali-Ohly! jąkając się, czyta dozorca — oto, dyabeljaki długi!

— Idź, dyable, „Małajka"(*), ciebie wołają! —popychają skazańcy Kaukazczyka, który pomimo trzyletniej katorgi jeszcze nie potrafił rozpoznać wołania swego imienia w brzmieniu bezbożnie skoszlawionem przez dozorcę. Nad tem wszystkiem panuje kaszel ochrypły, przeciągły, typowy kataralny.

Wielu przejmuje na mrozie „pot cygański": drżą, dzwonią zębami.

Czekają niecierpliwie okrzyku: „Naprzód!"

Dawniej ta ranna godzina podziału roboty była jednocześnie godziną wymierzania kary.

Na środku podwórza stawiano „kobyłę," gdzie wobec całej katorgi karano winowajcę.

Katorga zaś patrzała i... śmiała się.

— Baba!.. drze się jak prosię!.. Nie lubisz! — witano w ten sposób śmiechem każdy krzyk karanego.

Okrutne widowisko!

Czasem katorga „egzaminowała" swoich, którzy starali się zaskarbić poważanie towarzyszów i dostać się do kategoryi „Iwanów," bohaterów katorgi.

(*) Nazwa wszystkich młodych Kaukazczyków, starych nazywają „Babajami."

dzą się w imię czci dla talentu, zasług i pracy. Takie chwile mają coś głęboko wzruszającego, szczególnie dla nas, którzy częściej zdolności i pracę lekceważymy, niż szanujemy. Na geniusza i zasługę lada pyszałek rzuci piaskiem i błotem, a nieraz wieki całe czekać trzeba, zanim własny naród odda sprawiedliwość. Niejednokrotnie z goryczą mówiłem o tem, że Koło literacko-artystyczne we Lwowie bawi się i gra w karty pod hasłem literatury, a dziś wypada mi powiedzieć, że to samo Koło podjęło myśl postawienia pomnika Fredrze i myśl tę, po długich oczekiwaniach, nareszcie do skutku doprowadziło. I więcej mu to niezawodnie przyniosło poważnego rozgłosu, niż wielkie i małe szlemy wszystkich członków razem od założenia Koła wygrane. Dla mnie, który nie dążę do godności żadnego prezesa, marszałka najlichszej rady powiatowej, było nie tłumackiej *), a nawet do radcy Wydziału krajowego, znanych z tego, że mało robią a jeszcze mniej radzą, milej zawsze widzieć ludzi, zgromadzonych w imię pracy, niż — przy stoliku zielonym. Dlatego też przebaczyłem Kołu niejeden z jego błędów, patrząc na owoc zasługi.

Pogoda sprzyjała całej uroczystości. Pomnika nie opisuję, bo wątpię, aby ktoś mógł powziąć dokładne z tego opisu wyobrażenie o nim. Wykonał go rzeźbiarz Marconi. Pierwszy przemówił Albert Wilczyński, jako prezes Koła z czasu, kiedy powzięto myśl postawienia pomnika Fredrze; potem mówił prof uniw. Balasits, jako wiceprezes Koła dzisiejszego; Małachowski, jako prezydent miasta, raczył wspaniałomyślnie przyjąć pomnik pod swoją opiekę, a p. Andrzej Fredro, podziękowawszy Panu Bogu za to, że jest wnukiem Aleksandra Fredry, zaprosił około stu osób ze zgromadzonych na śniadanie. Można się na to zapatrywać, jak się komu podoba, ale nie ulega wątpliwości, że p. Andrzej Fredro nie prosił gości jako obywatel z Grodeckiego, lecz pragnął dać do zrozumienia, że w czci dla swego dziada radby iść razem z tymi, którzy znaczenie jego w literaturze rozumieją, a zasługi czcić potrafią. To także rzadka rzecz w naszych czasach, bo zwykle nie lubimy ludzi, przerastających własne społeczeństwo, nawet gdy oni należą do najbliższej rodziny. Komu tylko serce goręcej biło, przyjął zaproszenie w imię solidarności w szacunku dla zasłużonych.

Kto zna towarzystwo lwowskie, ten spostrzegł tam nawet niejednego z tych pawiów, chodzących wiecznie z rozszczepionym ogonem, dla których tytuł „zwyczajnego profesora uniwersytetu“ jest szczytem nauki i zasług, a jednak nie było ani namiestnika ks. Sanguszki, ani marszałka krajowego p. Stanisława Badeniego.

Zanim jeszcze pomnik Aleks. Fredry był odsłonięty, już powstała myśl postawienia pomnika Korneliowi Ujejskiemu. Na miejsce wybrano Lwów. Pod tym względem jest to myśl bardzo trafna. O Ujejskim można powiedzieć śmiało, że był dzieckiem duchowem Lwowa. Na czas jego pobytu w „grodzie Lwa“ — jak się tu mówi górnie — jako też zamieszkania jego w Żubrzy, w pobliżu Lwowa, przypadła jego największa działalność; tu powstały najpiękniejsze jego utwory, godzi się przeto, ażeby w tem miejscu stanął jego pomnik. Zdaje się wszakże, że komitet, pragnąc zbyt rychło wywiązać się z przyjętego na siebie zadania, chce zwykłego popiersia. Prawda, że to najprędzej i najłatwiej zrobić można, ale trzeba pamiętać, że na każdy pomnik składają się dwie myśli: uczczenie człowieka i jego zasług oraz danie możności najszerszym kołom do złożenia hołdu. Jest to zadośćuczynieniem potrzebie okazania tej łączności duchowej, jaka istnieje między poetą a społeczeństwem. Dla pisarza i narodu lepiej jest, gdy daje wielu, ale mało, niż niewielu dużo. Roztropniej by może przeto było, gdyby odłożono termin postawienia pomnika Ujejskiemu na lat kilka, a natomiast uwagę całego społeczeństwa skupiono na Mickiewicza. Wówczas zdołanoby nawet zebrać większy fundusz dla Ujejskiego i postawić pomnik piękniejszy. Popiersia pozostawmy dla ogrodów, studni, placów miast prowincyonalnych itp.

Niektórzy robią zarzut, że należałoby pierwej postawić we Lwowie pomnik Mickiewiczowi. Zapewne, ale Lwów tak rzadko się zapala, że nie trzeba przeszkadzać, gdy jakaś myśl piękna i dobra śród tego sennego miasta zakiełkuje. Zresztą, może i na Lwów przyjdzie kolej. P. Dykas, którego model pomnika dla Mickiewicza w Krakowie, acz nagrodzony, wszakże nie został przyjęty, ofiaruje podobno swą pracę za bardzo tanie pieniądze. Dopóki mówiono o tem, ażeby całe społeczeństwo galicyjskie wzniosło ten pomnik, rzecz była wątpliwa; ale skoro p. Dykas chce to uczynić, dzięki ofierze swego talentu i pracy — bo oprócz tego, o ile wiemy, nic nie posiada — to i owszem, niech wyręczy i nas chudych pachołków, i marszałków, i prezydentów, tem bardziej, że oni mają coś ważniejszego do czynienia, niż stawianie pomników ludziom, którzy nie byli nigdy ani prezydentami, ani marszałkami, ani nawet radcami. Dość dla nich pracy, gdy przez całą godzinę stać muszą przed odsłoniętym pomnikiem, słuchać patetycznej kantaty z nieodzownym wykrzyknikiem: cześć, cześć, cześć! — i słuchać mów pochwalnych.

Wogóle wewnętrzne położenie polityczne Austryi zaczyna być bardzo ciekawem, ale dla nas bardzo niewesołem. Zwycięztwo opozycyi niemieckiej, niedozwalające w imię sprawiedliwości państwowej na równouprawnienie językowe w Czechach i na Morawii, staje się bardzo groźną zapowiedzią na przyszłość. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że centralistyczny rząd niemiecki w Austryi, nawet w takim stanie, jak dzisiaj, długo utrzymać się nie da, ale przecież utrzymać się jeszcze przez czas jakiś może. Jest to rzeczą zbyt wiadomą, że walka w parlamencie jest walką o formę rządu i jego charakter. Nikt nie ustępuje władzy bez oporu, to też w chwili, gdy Niemcy zrozumieli, że dotychczasowe ich znaczenie państwowe w Austryi i władzę mogą im odebrać inne narody, rozpoczęli uporczywy i wytrwały bój ze Słowianami i z rządem. Z punktu sprawiedliwości państwowej i prawnej jest to walka niesympatyczna i nieuczciwa, ale niepodobna nie przyznać Niemcom wytrwałości, jasnego zrozumienia celu, do którego dążą i tej solidarności, która jest najlepszym dowodem dojrzałości politycznej.

Jakkolwiek Badeni w tych zapasach reprezentuje rząd, stoi odosobniony, a poniekąd bezradny. Przypisują mu winę w tem, że nie umie sobie jednać przyjaciół; nie wiem, może to prawda — zdaje się, ale nie to bynajmniej jest przyczyną jego odosobnienia. Niemcy i skonfederowana z nimi żydowska prasa wiedeńska walczą z rządem teraźniejszym w imię hegemonii niemieckiej, a Niemcy, ci nawet, którzy się uśmiechają do rządu, z tyłu, po za nim wyciągają pazury i drapią lub ciągną całą maszynę państwową w tył. Krótko mówiąc, Badeni robi politykę inną, a ministrowie jego — inną. On patrzy w dalszą przyszłość państwową, a całe jego otoczenie rządowe, solidaryzując się z nim pozornie, w rzeczywistości

*) Siedzi w więzieniu za defraudacyę.

Na kobyłę kładziono najkrnąbrniejszego aresztanta, który się zaklinał, że za nic w świecie „nie ulegnie władzy.“

I katorga z ciekawością oczekiwała, jak się on zachowa pod rózgami.

Ścisnąwszy zęby, czasem aż do krwi zagryzłszy usta, leżał na kobyle i milczał.

Tylko dziko biegające oczy, żyły, nabrzmiałe na szyi, mówiły, jak straszne męczarnie przechodził i ile jest warte jego milczenie wobec całej katorgi.

— Dwanaście! Trzynaście! Czternaście! miarowo liczył dozorca.

— Nie spiesz!.. Rzadziej!.. Mocniej!.. — wołał rozdrażniony tym stoicyzmem.

Oprawca bił rzadziej, uderzał mocniej...

— Piętnaście... Szesnaście... — z wielkiemi przerwami wymawiał dozorca.

Jęk, mimowolny okrzyk bólu wyrwał się z piersi nieszczęśliwego.

„Obciął się! Nie zdał!“

Katorga odpowiadała wybuchem śmiechu.

Dozorca spoglądał tryumfująco.

— Złamałem!

Czasem katorga oczekiwała rozporządzenia wprost jako bardzo ciekawego i śmiesznego widowiska.

— Zobaczycie jutro, jakie będę wyrabiał „kurboty,“ gdy mię bić zaczną. Przedstawienie! — chwalił się np. jaki „żygan,“ który przegrał w karty wszystko, nawet ubranie skarbowe i porcye żywności, sam zaś żywił się okruchami ze stołu katorgi i za to odgrywał rolę błazna.

Katorga czekała na „przedstawienie.“

Ledwie się powstrzymując od śmiechu, patrzyła ona na „kurboty,“ które wyrabiał „żygan.“

Wielu nie mogło wytrzymać. Parskali śmiechem i aż przysiadali.

Nieszczęśliwy zaś „żygan“ starał się wytrwać.

Padał przed dozorcą na kolana, zaklinał się, że nigdy nie będzie; prosił o zmiłowanie nad nim, sierotą „ze względu na dzieci małe.“

Nie dawał się położyć na kobyłę, krzyczał już wtedy, gdy oprawca dopiero zamierzał się:

— Oj, boli! Oj, rodzice, boli!

— Mocniej tego szelmę! — wołał rozgniewany dozorca.

Tymczasem „żygan,“ leżąc pod rózgami, wydawał najśmieszniejsze okrzyki.

— Oj, babciu moja miła! Rodzice moi, nowi!

Krwią i ciałem płacił za te okruchy, które rzucała mu katorga ze swego stołu.

Płacił, dając jej „przyjemność“

Kara kończyła się i „żygan“ z wielkim trudem, ale zawsze z nadrabianym uśmiechem zbliżał się do swoich:

— Dobrze?

Jeszcze niedawno, wychodząc mroźnym rankiem na ganek, można było słyszeć jęki i stękania, dolatujące z podwórza więziennego.

Ale *tempora mutantur*.. Podmuchy humanizmu dotarły i do Sachalinu. Wstręt gubernatora, generała Merkazina, do kary cielesnej zmusił i naczelników okręgowych do większej oględności.

I inspektor więzienia korsakowskiego skarżył się przede mną, że mu nie pozwalają teraz „umoralniać“ przestępców.

Te poranne rozprawy, egzaminy i widowiska prawie ustały i zdarzają się dziś rzadko.

Rozporządzenie odbywa się spokojnie i po cichu.

Wywoływanie skończone!

— Ruszać!

Skazańcy z siekierami, piłami i powrozami ruszają w podskokach, starając się rozgrzać w biegu.

(C. d. n.)

występuje przeciwko niemu i na niekorzyść jego działa. Dość przypomnieć, w jaki sposób zdradziecko-teutoński postąpił sobie przed kilku miesiącami Gautsch, minister oświaty, z dyrekcyą szląską, która przyszła prosić go o prawo publiczności dla gimnazyum cieszyńskiego. Gdy mu powiedziano, że Badeni zgodził się na to, odpowiedział, nie mogąc powstrzymać dławiącej go zawiści: jeżeli pozwolił, to dotrzyma z pewnością, bo przecie Badeni, nie ja, robi politykę. I nie pozwolił. Dopiero gdy się cała sprawa wykryła, gdy się upomniało Koło polskie o Szlązk — ach, to *koło* prawdziwie błędne — ustąpił pod naciskiem. A jednak ten sam Gautsch jest dotychczas ministrem, a wszystkie sympatye jego są niezawodnie po stronie Wolffów, Irów, Schonererów i im podobnych. Dziś jest ministrem w gabinecie Badeniego, a jutro stanie jawnie po stronie Wolffa i będzie dusił Słowian z całą rozkoszą teutońską. Niemcy rozumieją tylko taką sprawiedliwość, która dogadza ich potrzebom i interesom.

Ledwie uciszyła się trochę ta awantura germańska, wystąpił drugi minister, Guttenberg, z rozporządzeniami, idącemi nietylko w kierunku odwrotnym do głównych prądów równouprawnienia narodowego, ale noszącemi mocne ślady i zapach centralizmu Bachowskiego. Mam tu na myśli rozporządzenie jego co do urzędników kolejowych w Galicyi, wydane niedawno a mające na celu wzmocnienie znajomości języka niemieckiego, tak, ażeby mogli nim władać nietylko „urzędowo," ale wyrażać się *stylowo*. Okólnik ten wyszedł właśnie w chwili, kiedy Niemcy prowadzą w Wiedniu uporczywą wojnę o to, że ustawa językowa wymaga w Czechach od urzędników niemieckich znajomości języka czeskiego. Gdyby takie żądanie wyszło w Niemczech i dotyczyło, dajmy na to, Bawaryi, możnaby je uważać za mniej lub więcej słuszne, ale w Austryi, jako ogólnie obowiązujące, jest poprostu nieposzanowaniem ustaw konstytucyjnych, bo język niemiecki może być tylko tam wprowadzony w urzędach i stosunkach ze stronami, gdzie jest krajowym. W Galicyi zaś, gdzie nawet zaliczywszy do Niemców Żydów, posługujących się niemczyzną, mało co więcej znajdzie się ich nad 1½—2%; taki okólnik byłby nonsensem, gdyby na dnie jego nie spoczywały męty dawnych zachcianek centralistycznych.

W Galicyi wszakże pozostało najwięcej tych mętów, dzięki naszej obojętności, jako też temu, że Koło polskie, zajęte wielką polityką austryacką, zapomina o tem, że my mamy własną politykę wewnętrzną — rozwijania najszerzej samodzielnego życia. Dziś my jesteśmy ogonem austryackim, którym kręcą ministrowie-Niemcy, jak im się podoba. Trudno uwierzyć w to, jak u nas mało jest rozwinięty indywidualizm narodowy, a tam nawet, gdzie się przejawia i porywa nieraz, opiera się raczej na uczuciach i formach, niż na poważnej świadomości państwowej. A jednak jest to niewątpliwie prawdą. Gdy chodzi o pozory — nadrabiamy fantazyą i brylantami przy żupanach, gdy chodzi o prawo — stawiamy je często na poziomie grzeczności towarzyskiej, która nie pozwala być zbyt natarczywym. Dlatego też, gdy stanie przed sądem w Galicyi *jeden* Niemiec, który pomimo że mieszka w kraju od lat kilkunastu, nie zna języka polskiego — cały sąd i wszyscy świadkowie mówią po niemiecku. Stało się to niedawno przy procesie w Wadowicach. Niemą sędziego, któryby śmiał zażądać tłomacza. Dlatego też posiadamy w Galicyi dwie szkoły niemieckie dla dzieci oficerów Niemców — wbrew ustawie i prawu, bo codzienny wykład języka niemieckiego w szkołach średnich może aż nadto dobrze wystarczyć do nauczenia się tego języka. Dlatego przy żandarmeryi, w dyrekcyi domen i lasów, w zarządzie poczt i telegrafów i wreszcie w dyrekcyach kolei skarbowych mamy wszędzie język niemiecki. Niechże kto spróbuje zrobić z tego sprawę w parlamencie taką, jaką Niemcy robią o to, że urzędnikom w Czechach każą się uczyć po czesku — miałby się dopiero z pyszna! Wyszłaby zaraz na porządek dzienny formuła: nie róbmy trudności rządowi. Tak jest, nie róbmy, zgoda na to, ale nie pozwólmy, ażeby w Wiedniu bodaj na chwilę zapomniano o tem, że my nie jesteśmy Niemcami.

Co nam przyniesie ten powrót fali centralistycznej; ten rząd, który nie może rządzić skutkiem codziennych awantur; to zapowiedzi Niemców, do Czechów zwrócone, że „podamy sobie ręce po nad głowami rządu"; wreszcie głośno wypowiadane myśli w parlamencie: Niemcy w Austryi pragną takiego stosunku do Niemiec, jaki istnieje między Niemcami a Bawaryą? Tymczasem ugoda między Austryą a Węgrami nieodnowiona, cała maszyna państwowa stoi, w Peszcie zaś odzywają się głosy o możności obejścia się bez ugody z Austryą. To pachnie rokiem 1848.

Nieszczęśliwe Towarzystwo wzajemnej asekuracyi od ognia i gradu w Krakowie choruje od dłuższego czasu na „nieprawidłowość." Główną winą jego jest to, że posiada dużo pieniędzy i uprawia system „protekcyonalny." Stąd też zdarzają się często defraudacye, czyli, mówiąc jaśniej, kradzieże, pokrywane rozmaitymi stosunkami familijnymi. Nie mówilbym o nadużyciach, jak o rzeczy zwykłej, gdyby ona tak bardzo nie wiązała się ze sprawą otaczania opieką swoich figur i swoich krewnych. Jest to krzywdzenie wszystkich na korzyść jednostek. Jeszcze nie przeminęła sprawa Leszczyka *vel* Leszczyńskiego, a już na widownię występuje nowy—amator cudzych pieniędzy. Szukają go właśnie teraz, wymawiając nieśmiało nazwisko Czesława Kieszkowskiego. Najciekawszem jest zachowanie się dyrekcyi. Józef Męciński, prezes rady nadzorczej, przed dwoma tygodniami najuroczyściej publicznie zaklinał się, że nie nie ukradli, a teraz pp. Romer, Scipio i Słonecki przyznają się, że wykryto „znaczne nadużycie." Jakie? To powie komisya montrująca, ale cóż robiła przedtem ta sama komisya? Jeżeli nie wykryła nadużyć, to albo nie chciała, albo nie umiała, albo lekceważyła. Piękno porządki, ani słowa.

Cho.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Przewaga żywiołu polskiego w oświetleniu hakatystów. — Sprawa obrony niemczyzny w sejmie pruskim. — Hakatyzm jako proceder ekonomiczny. — Prasa przed sądem. — Prawo władców we własnym domu. — Ofiara „dla ofiar fanatyzmu polskiego." — Bank ziemski.

Świeżo wydana w Lipsku broszura p. t. „Aus unserer Ostmark. Realpolitische Betrachtungen," zawiera dużo ciekawych i znamiennych szczegółów, dotyczących sprawy polskiej. Według obliczeń tam zawartych, w W. Ks. Poznańskiem r. 1861 Niemcy stanowili 46%, r. 1890 — 40%, do roku zaś 1895 liczba ich jeszcze bardziej się zmniejszyła (30%), gdy Polaków urosła do 61%. „We wszystkich miastach W. Ks. Poznańskiego i Prus zachodnich żywioł niemiecki albo się zmniejsza, albo też nie wzrasta widocznie. Oto dwa przykłady ze wschodnich i zachodnich okolic Poznańskiego: W Grodzisku r. 1840 było 1,293 katolików i 2,293 innych wyznań, r. 1895 pierwszych było 2,636, innych wyznań 1,921. We Wrześni r. 1840 pierwszych było 1,290, drugich 1,732. W r. 1895 liczba katolików wzrosła do 3,753, innych wyznań zmniejszyła się do 1,395.

Polscy robotnicy ze wsi przychodzą do miasta i tam wyuczywszy się rzemiosł, pobijają Niemców cenami tańszemi, a częstokroć rzetelniejszem wykonaniem robót. Zasileni zaś stowarzyszeniami kredytowemi, wypierają żywioł germański... Biedacy!..

Autor rozczula się nad dolą swych współbraci także na wsi: Dawniej pracowity i oszczędny chłop niemiecki mógł kupić gospodarstwo Polaka sąsiada. Dziś należy to do wyjątków rzadkich. Ale natomiast lud polski wciska się zaczyna do wsi wyłącznie niemieckich. Dawniej w ręce niemieckie od Polaków przechodziło rocznie około 10,000 hektarów, a nawet i więcej. Dziś ruch w tej mierze znacznie osłabł.

Robotnicy polscy, przybysze z Królestwa Polskiego, sprawiają także wielki ból autorowi broszury alarmującej. W prowincyach wschodnich wprawdzie władze czuwają nad tem, ażeby ta ludność napływowa nie osiedlała się na stałe. Ale w zachodnich dzielnicach Niemiec podobno mniej ten rygor jest przestrzegany.

Gdyby ktoś chciał opierać wnioski na podstawie tych danych, nie wiadomo skąd zaczerpniętych i uwydatnionych okrzykami sztucznej zgrozy — mógłby przyjść do wyników, niezgodnych z istotnymi warunkami bytu ludności polskiej. Przedewszystkiem autor bierze kilka drobnych ognisk i uważa je za stałą normę zjawisk w całym kraju. Następnie ubolewa nad dolą biednego Niemca, zapominając, że po jego stronie stoją: cała administracya z aparatem środków gnębiących i władzą nieograniczoną; następnie nienawiść rasowa, wpleciona w organizacyę hakatyzmu, oraz popierana przewagą ekonomiczną i polityczną. Jeżeli Niemcy uciekają z ziemi rdzennie polskiej, to albo pod wpływem niewłaściwych dla nich warunków kulturalnych, albo też pod działaniem czynników moralnych, które stwarzają im życie nieznośne.

Pomimo jednak przewagi, pomimo mocnych i szerokich pleców rządu, głosy takich alarmistów, jak autora broszury powyższej, wywierają pewien wpływ na sfery rządzące. Tym właśnie knowaniom i alarmom hakatystów można przypisać postawienie na porządku dziennym sejmu pruskiego kwestyi: jakich środków użyć należy ku obronie niemczyzny, „zagrożonej" na kresach wschodnich? Będziemy więc mieli powódź mętnych wniosków a może i przepisów, których sieciе prywatno robigroszów niemieckich, wciągniętych pod chorągiew zadań narodowych, będą łapały ryby. Hakatyzm i nienawiść rasowa, to bodaj najzyskowniejsze przedsiębiorstwo, które już bardzo wielu „działaczom" pozwoliło się wzbogacić. Dzielnie im dopomaga samowola policyi. Niedawno np. już po raz ósmy rozwiązano zebranie Towarzystwa ludowego w Ceksynie (Prusy zachodnie)—za język polski.

Sprawy sądowe również są na porządku dziennym. Dnia 5 z. m. wytoczono proces polityczny tygodnikowi *Praca* przed izbą karną najwyższego trybunału w Lipsku za artykuł, napisany w obronie... pacierza polskiego. Sprawa ta poszła do Lipska skutkiem rewizyi pierwszego prokuratora z Poznania, wniesionej przeciw wyrokowi izby karnej sądu ziemiańskiego w Poznaniu, uwalniającemu pięciu redaktorów i wydawcę organu powyższego od winy i kosztów, wbrew wnioskowi prokuratoryi, która żądała dla nich bardzo ciężkiej kary więziennej. Trybunał lipski rewizyę odrzucił.

Inny proces wytoczono przed izbą karną sądu ziemiańskiego w Grudziądzu przeciw redaktorom *Gazety Grudziądzkiej*, pp. Rutkowskiemu i Kuleńskiemu o obrazę ojców hakatyzmu: Hansemanna, Kennemanna i Tiedemanna. Na świadków między innymi wezwano z Poznania: naczelnego redaktora *Orędownika*, dr. Szymańskiego, byłego redaktora *Gońca Wielkopolskiego*, K. Rzepeckiego i współpracownika *Dziennika Poznańskiego*, p. Krysiaka. Do obrony oskarżonych powołano posła mecenasa dr. Dziembowskiego z Poznania. W artykule gazety pomienionej obrazę wywołał zwrot o całowaniu ręki, która biczem smaga. W tych słowach prokuratorya znalazła obrazę rządu. Hakatyści zaś uznali cały artykuł za obelżywy dla siebie. Ukarania zażądali trzej ojcowie hakatyzmu oraz przywódca szerzycieli germanizmu w Grudziądzu, adwokat Wagner. Prokurator żądał uwolnienia p. Kuleńskiego i skazania p. Rutkowskiego na rok więzienia. Dr. Dziembowski dzielnie bronił oskarżonych i temu zapewno przypisać trzeba, że p. Rutkowskiego skazano tylko na 300 marek grzywny.

Nie koniec na tem: Izba karna sądu ziemiańskiego w Ostrowie skazała redaktora i wydawcę *Gazety Ostrowskiej*, p. T. Nowickiego, na cztery miesiące więzienia za obrazę majora pruskiego, v. Fischera-Trewenfelda z Ostrowa oraz ex-kanclerza Bismarcka. Co do tego ostatniego, dopatrzono się obrazy w wierszu p. t. „Śmierć i Bisio.“ Ukarania zażądał sam Bismarck.

Izba karna sądu ziemiańskiego w Poznaniu skazała redaktora odpowiedzialnego *Orędownika*, p. Siemianowskiego, na 100 marek kary albo więzienie za artykuł, krytykujący nieprawne rozwiązanie przez policyę zebrań i zabaw towarzystw polskich.

Wreszcie były redaktor *Gońca Wielkopolskiego*, p. Bolewski, również wkrótce zasiądzie na ławie oskarżonych za artykuł, potępiający działalność hakatystów, napisany z powodu setnej rocznicy urodzin cesarza Wilhelma I. Sprawa ta jest poddana powtórnemu rozpoznaniu, na mocy rewizyi prokuratoryi, wniesionej do trybunału w Lipsku, przeciw wyrokowi izby skarbowej sądu ziemiańskiego w Poznaniu, uwalniającego p. Bolewskiego od winy i kary.

Skoro mowa o procesach, nie możemy pominąć znamiennych uwag hakatystów, wypowiedzianych na łamach ich organów z powodu sprawy Grüttera. „Jeżeli nie chcemy znieść politycznego prawa wyborczego dla członków narodowości obcej, to możemy zapewnić sobie służące nam prawo władców we własnym domu tylko przez nieustanne i bezwzględne odpieranie polskości.“ Ponieważ sądy nie wydęły tej sprawy do rozmiarów czynu politycznego, więc hakatyści wszelkimi sposobami usiłują jej nadać takie znaczenie za pomocą 10,000 marek, zebranych drogą składek dla wdowy i dzieci zmarłego nauczyciela, jako „dla ofiar fanatyzmu polskiego.“

Niedawno odbyło się ogólne doroczne zebranie Banku ziemskiego, które nam daje powód do zaznaczenia kilku szczegółów, dotyczących tej instytucyi. Jak wiadomo, jej kapitał zakładowy, w stosunku do potrzeb i zadań, był bardzo skromny, wynosił bowiem 1,200,000 m. Skutkiem tego ogłoszono podpisy jeszcze na 800,000 marek i do d. 30 czerwca r. z. pokryto tę emisyę z nadwyżką. Dyrekcya Banku rozłożyła te podpisy na cztery lata. Wielu jednak z całą świadomością zadań obywatelskich złożyło natychmiast cały kapitał, inni zaś po dwie lub trzy raty naraz. Do d. 13 czerwca 1896 r. wypłacono na nową emisyę gotówką 637,745 m., tj. na 540 akcyj od 219 osób wpłynęły po cztery raty, ogółem 548,840 m., na 14 akcyj od 9 osób po trzy raty, czyli 10,500 m., na 102 akcye od 51 osób po dwie raty, czyli 50,655 m., wreszcie na 143 akcye od 102 osób po jednej racie, czyli 35,750 m.

Nie można pominąć faktu wielce dodatniego, że nikt nie cofnął subskrypcyi z tych osób, które podpisały akcye na sumę 800,000 m. Nadto do 206 akcyj dodatkowych zebrano jeszcze nowe podpisy na 220 akcyj. Według obowiązujących przepisów, nie wolno przystąpić do nowej subskrypcyi, dopóki poprzedniej nie spłacono. Pomimo tedy iż całą sumę pokryto, trzeba czekać do r. 1899, w którym obowiązuje wypłata czwartej raty na akcye ostatniej emisyi. Można jednak na to poradzić inaczej. Oto na miejsce subskrybentów emisyi ostatniej, którzy nie chcą albo nie mogą wypłacić wszystkich rat odrazu, wstąpią inni, których podpisów poprzednio, jako nadkompletnych, nie uwzględniono. Oświadczyli oni gotowość wypłacenia całej sumy za akcye. Zabiegi w tej mierze są już rozwinięte, tymczasem zaś na przyszłą subskrybcyę Bank ma już odbiorców (516 akcyj), którzy wnieśli 116,584 m. Suma ta, odpowiednio umieszczona, daje 4%.

Niemcy nietylko patrzą niechętnie na tę instytucyę kredytową polską, ale usiłują na każdym kroku hamować jej działalność. Bywają np. takie wypadki, że pomimo ukończonej faktycznie parcelacyi, przeprowadzenia pomiarów, zaopatrzenia osadników w budynki i inwentarze, komisya generalna zawiesza ostateczne załatwienie czynności, gdyż nie spełniono warunku, że pomiędzy osadnikami powinno być 25% Niemców; osiedleni zaś dotąd ludzie pochodzenia niemieckiego i wyznania katolickiego, pożenieni z Polkami, nie mogą być uważani za Niemców. Oprócz tych utrudnień są jeszcze inne, ekonomiczne. Na parcelacyę hamująco działa zwyżka cen ziemi, wywołana ruchem kolonizacyjnym, podtrzymywanym przez instytucye niemieckie, oraz zniżka stopy procentowej, jako wynik ustawodawstwa rentowego. Wypływa stąd sprzeczność interesów, paraliżująca działalność. Z jednej strony właściciele parcelujący chcą się utrzymać przy cenach jak najwyższych, z drugiej osadnicy pragną jak najniższych opłat i ciężarów, wreszcie akcyonaryusze Banku żądają odpowiedniej dla siebie dywidendy. Wobec tego dziwić się trzeba, że jednak ruch parcelacyjny, stworzony przez Bank ziemski, rozwija się jako tako z korzyścią dla społeczeństwa polskiego.

„Pomimo gromadzących się przeszkód—mówi sprawozdanie Banku — przedsiębiorstwa osadnicze pod panowaniem pruskiem, było tylko oparte na żywiołowej sile ruchu ludowego i podtrzymywane odpowiednimi funduszami, mogą pomyślnie się rozwijać, z czego dalej wynika, że nietylko uchwalone dotąd kapitały wpłynęły korzystnie na rozwój osadnictwa, ale że i dalsze podwyższenie kapitału zakładowego jest konieczne, tak w interesie potrzeb kraju, jak normalnego postępu prac instytucyi.“ *st.*

POLITECHNIKA W WARSZAWIE

PRZED ROKIEM 1830.

II.

Zdzitowiecki Seweryn, który już, jako uczeń klasy szóstej szkół wojewódzkich lubelskich, ogłosił w r. 1817 „Zasady oryktognozyi i geognozyi podług najnowszego układu Wernera“, a potem miał się zająć specyalnie chemią, uczył w szkole politechnicznej hutnictwa i mineralogii.

Jan Smolikowski, inspektor generalny budownictwa wodnego, magister filozofii, dawał kurs o spławianiu rzek i wprawiał uczniów w rysunki inżenierskie. W piśmiennictwie zaznaczył się on rozprawką pod tytułem „Ogólny rzut oka na jedwabnictwo.“

Paweł Kaczyński, również magister filozofii, który miał kiedyś napisać rzecz „O wypalaniu wódki“ (r. 1840), w szkole politechnicznej nauczał budownictwa machin, rysunku geometrycznego i rysunku machin.

Wincenty Wrześniowski, (ur. 1800, zm. 1862) znany dobrze jako autor „Arytmetyki“ i „Zadań do niej,“ wykładał miernictwo, niwelacyę i rysunki topograficzne.

Teodor Urbański, inspektor generalny budowli wodnych, prowadził kurs komunikacyj lądowych i wodnych.

Andrzej Gołoński, magister budownictwa i miernictwa, dawał kurs architektury cywilnej i projektowań architektonicznych, nadto wprawiał uczniów w rysunki architektoniczne.

Obok tych czternastu profesorów, ściśle techniczne przedmioty wykładających, było czterech nauczycieli przedmiotów pomocniczych, a mianowicie:

Antoni Wylezol (sic!) wykładał matematykę niższą; znany powszechnie Jan Piwarski, wówczas konserwator rycin w bibliotece publicznej, wprawiał uczniów we wszelkiego rodzaju rysunki ręczne; Franciszek Lieder, autor podręczników do nauki języka niemieckiego, wielokrotnie przedrukowywanych, uczył tegoż przedmiotu; Krystyn Lach Szyrma, doktór filozofii, członek Towarzystwa przyjaciół nauk, profesor uniwersytetu warszawskiego, rozgłośny w swoim czasie jako autor i jako obywatel, uczył języka angielskiego.

Jak widać z powyższego suchego sprawozdania, profesorowie szkoły przygotowawczej do instytutu politechnicznego byli nietylko ludźmi z wyższem wykształceniem, nietylko nauczycielami, wykładającymi swój przedmiot, ale także autorami, pragnącymi wiedzę swoją i doświadczenie rozpowszechnić wśród ogółu, a zarazem literaturę naukową wzbogacić. Pomimo zupełnego niemal naówczas braku ludzi, wyrobionych teoretycznie i praktycznie w zawodach przemysłowych, potrafiono w krótkim stosunkowo czasie wytworzyć zastęp uczonych, którzy zadanie swoje w szkole politechnicznej godnie spełnić mogli, tak że już w roku szkolnym 1829—30 szkoła przygotowawcza zastępowała rzeczywisty instytut politechniczny.

Szkoła ta rozporządzała bardzo ograniczonymi funduszami. Nie znam wprawdzie jej etatu, ale z poszczególnych wiadomości, zawartych w „Ogólnym programie kursów, wykładać się mających w szkole przygotowawczej do instytutu politechnicznego w r. szkolnym 1830—31“ wnieść nie trudno, że się tam nie przelewało. Oto np. na cztery pracownie technologiczne wyznaczono w budżecie sześć tysięcy złotych, a profesorowie potrafili zręcznie niemi rozporządzić na korzyść instytutu. I tak, profesorowie Hann i Zdzitowiecki za tysiąc pięćset złotych zbudowali pracownię chemiczną, „łączącą w sobie wszelkie dogodności, na jakie tymczasowość, szczupłość i niestosowność lokalu dozwoliły.“ A więc oprócz szaf itp. sprzętów, prócz materyałów, preparatów i odczynników, profesorowie nasi zaopatrzyli się w narzędzia do analizy chemicznej, jako to w dokładną ważkę chemiczną, tygielek platerowany i srebrny, starannie urządzony letror Berzeliusza, piec probierski, wanienkę chemiczną z merkuryuszem, lampę emalierską itp. A nadto z tego samego źródła opędzano koszta licznych doświadczeń i manipulacyj uczniów, przy kursie technologii hutniczej prof. Zdzitowieckiego i wykładzie farbiarstwa, garbarstwa itp. prof. Hanna.

Podobnie postąpił sobie zarządzający pracownią technologii wyrobów roślinnych i technologii mechanicznej.

W r. 1830 wyjednano u rady administracyjnej Królestwa 18,000 złotych na zbiory biblioteczne i technologiczne. Po rozdzieleniu tej sumy w trzech częściach równych: na bibliotekę, zbiory do kursów techniczno-chemicznych i mechanicznych, zaprenumerowano pism peryodycznych niemieckich, francuskich lub angielskich 24; zamówiono znakomitsze dzieła, rysunki celniejszych machin, zrobiono przez Leblanc'a; ważniejsze narzędzia i aparaty. Z resztującej kwoty 3,500 złotych na wniosek profesorów Kaczyńskiego i Bernhardta obrócono na potrzebniejsze modele warsztatów i machin, które rzemieślnicy pod okiem Bernhardta przysposabiali. Wszelkie geometryczne rysunki do wspomnianych robót z treściwym opisem ważniejszych szczegółów przy troskliwym kierunku prof. Kaczyńskiego wykonywali pomocnicy, wybrani z pomiędzy trzecio i czwartoletnich uczniów oddziału mechanicznego.

Uczniów nie mogło być jeszcze wielu. Silnie zakorzenione przesądy szlacheckie nie dozwalały oddawać się przemysłowi ani też nauce z nim związanej. Oto sprawozdanie z roku szkolnego 1829—30: wogóle było zapisanych 110 uczniow stałych. Z 38 technikow *niższych*, pierwszoletnich, dotrwało do końca 20, a z siedmiu drugoletnich — pięciu. Z dwudziestu ośmiu *wyższych* pierwszoletnich, ktorych kursa znacznej pracy wymagały, wytrwało szesnastu. Lecz za to z trzydziestu siedmiu na drugi, trzeci lub czwarty rok zapisanych, jeden tylko z braku funduszów opuścił instytut. Stosunek egzaminowanych do awansowanych okazał się dla niższych pierwszoletnich 20 : 13, dla wyższych pierwszoletnich 11 : 12, dla reszty uczniów 35 : 27.

Oprócz uczniów stałych uczęszczali na niektóre kursa politechniczne wychowańcy szkoły agronomicznej, górnicy i inne osoby.

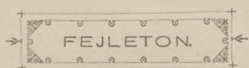
Jaki wpływ wywierała ta szkoła, choć działalność jej była tak krótka, widać to ze słów dyrektora Garbińskiego, który przy publicznem otwarciu kursów w d. 29 września 1830 r. tak przemawiał: „Wielu obywateli zgłasza się do nas po usposobionych uczniów do dyrygowania rozmaitemi fabrykami, jako to: tkactwa, farbierstwa, gorzelnictwa itp. Zgłaszania te zwykle połączone są z narzekaniami na cudzoziemców, dotąd na traf a drogo z daleka zamawianych; mamy nadzieję, że szkoła nasza przy pomocy opiekuńczej rządu niedługo zaradzać zacznie tej niedogodności i że młodzież polska w tak korzystnych zawodach nową sobie utoruje drogę do zaufania i szacunku współziomków. Przyspieszenie tak pożądanej chwili po części i od samych obywateli zawisło. Niech tylko każdy wybierze młodzieńca, znanego sobie i posiadającego przynajmniej niższe usposobienie, wymagane w szkole; niech, oznaczywszy mu skromne utrzymanie, poleci doskonalenie się w głównych wiadomościach przyszłego zawodu, a pewno po kilku leciech nie będą się nazbyt drożyć przychodnie. Przypomnieć tu należy, że obierający szczegółowe fabrykacye, jak np. sukiennictwo, farbierstwo itp., w krótszym czasie kończy politechniczny zawód od tego, który się jako technik wyższy sposobi."

Podczas wakacyj uczniowie, pod przewodnictwem profesorów, odbywali wycieczki po kraju, celem praktycznego zaznajomienia się z urządzeniem głowniejszych zakładów przemysłowych. Wyniki jednej z takich wycieczek bardzo szczegółowo opisał we wspomnianym programie prof. Hann, p. t. „Uwagi nad niektóremi gałęziami przemysłu krajowego."

Niektórzy z przedsiębiorców lub fabrykantów upraszali zarząd szkoły o zdanie co do ulepszeń i urządzeń różnych zakładów, albo też co do nadsyłanych wyrobów. Doświadczenia, zwłaszcza z ostatniego powodu uskuteczniane w pracowniach, wyprowadzane stąd wnioski na piśmie przez pojedynczych profesorow lub delegacye, z jednej strony czyniły zadość życzeniom osób interesowanych, a z drugiej uczniom, manipulującym pod okiem profesorów, podawały sposobność rozważania i obliczania różnych szczegółów, dotyczących przemysłu.

Kończąc tę notatkę o pierwszej naszej politechnice, przypomnę jeszcze dewizę, umieszczaną na jej programach, dewizę, która miała osłabić uprzedzenia staroszlacheckie i wskazać cel nauk technicznych: „Kochajmy przemysł, tego nierozdzielnego towarzysza pomyślności narodów. Pomnijmy, że wytrwaniem, pracą, przezorną i gruntowną nauką zwabić go na ziemię naszą i rzetelnie przepolszczyć można."

P. Chmielowski.



PAMIĘTNIK.

Ilu nas jest?

Pod tym tytułem p. F. Olszowski zamieścił w *Kuryerze Warszawskim* notatkę statystyczną, z której mu wypadła ogólna suma Polaków w Rosyi, Austryi i Prusiech 15,600,000. Do tej liczby dla należytej odpowiedzi na powyższe pytanie należałoby dodać ogromną ilość rodaków naszych, rozrzuconych po całej przestrzeni cywilizowanego świata. Mówimy: ogromną, bo wiadomo, że ludność polska w Ameryce wzrosła do poważnych rozmiarów i że dziś trudno byłoby na kuli ziemskiej znaleźć kraj, w którym by nie przebywała bądź zmieszana, bądź wyosobniona większa lub mniejsza ilość Polaków. A ponieważ zapewne niema drugiego plemienia, któreby było tak rozproszone szeroko, więc ujęcie go w ścisły rachunek statystyczny jest niepodobieństwem. Można tylko dokonać obliczenia przybliżonego, ale nawet na tej drodze wyjść musimy daleko po za sumę, oznaczoną przez p. Olszowskiego, który dopełnił dziś zapomnianą a przed laty 15 w *Ognisku* pomieszczoną notatkę F. Sulimierskiego. Mówiąc o tym świeżym wykazie, pisma warszawskie zestawiają według niego ludność polską z mniej licznemi ludnościami Rumunii, Czech, Węgier, Grecyi itp. Jakkolwiek i to porównanie jest pouczającem, zdaje nam się, że należałoby sięgnąć wyżej. Mianowicie gdyby można było zsumować wszystkich Polaków na całym świecie, prawdopodobnie okazałoby się, że stanowią oni jeden z najliczniejszych narodów w Europie, wyłączywszy naturalnie mieszaniny mechaniczne i uwzględniając tylko grupy pierwiastkowe. Szkoda wielka, że temu przypuszczeniu nie możemy nadać charakteru twierdzącego skutkiem braku podstawy cyfrowej. Ktoby ją, za pomocą odpowiednich poszukiwań stworzył, zasłużyłby się wielce i dostarczyłby nam do rozmaitych wywodów bardzo poważnego argumentu.

Et tu Brute contra nos?

W zeszłym tygodniu odegrała się w kilku dziennikach naszych nadzwyczaj zabawna scena. Korespondent petersburski *Kuryera Warszawskiego*, przytoczywszy z *St. Pet. Wiedomosti* kilka wyjątków o działalności państwa na kresach, zauważył, że ks. Uchtomski „zmienia barwy" i upodabnia je do kolorów *Now. Wremieni.* Przyznał on bowiem wyraźnie potrzebę asymilowania odrębnych pierwiastków narodowych, wymaga tylko, ażeby do tej operacyi wybierano właściwą porę i właściwe środki. Pomiędzy tymi, którzy w ks. Uchtomskim widzieli śmiałego dzwonnika, uderzającego w swój wielki dzwon publicystyczny i zwołującego nim dwa narody na uroczyste śluby miłości i zgody, zapanował popłoch. *Et tu Brute contra nos?* — wołali oni zdumieni i przerażeni. Nie byłoby jeszcze w tem nic śmiesznego, gdyby dla zatarcia złego wrażenia nasi specyaliści dziennikarscy od przewracania kota ogonem nie dokonali znowu tej sztuki i nie wystąpili z naganą przeciw... korespondentowi *Kuryera* za jego przytoczenia i wnioski. Ponieważ niepodobna było zaprzeczyć samego faktu, więc zgromiono protokólistę, że go ujawnił i oświetlił. Powinien był milczeć i powstrzymać się od „niepotrzebnych wynurzeń," bo bywają poglądy, których „lepiej wcale nie wypowiadać." Kto może, niech nie pisze satyry.

Ale czy rzeczywiście Brutus się zmienił i przeszedł do innego obozu? Zarówno to przypuszczenie, jak sprawiony niem popłoch jeszcze raz przekonywa, że ci pasterze z jakiejś anegdoty, którzy radzą kłaść w żłob wióry i zakładać krowom zielone okulary, a one zjedzą tę paszę jako liście kapusty—są bardzo pomysłowi, gdyż ich rada okazuje się praktyczną nawet dla ludzi. Redaktor *St. Pet. Wiedomosti*, którego nasi politykomani zamianowali O'Connellem Polaków, jest humanistą i patryotą rosyjskim. Humanizm każe mu zalecać środki postępowania łagodnego, ludzkiego, unikającego gwałtów i okrucieństw, patryotyzm zaś—stawiać za cel państwu pokojowe zmieszanie i powolne przetopienie różnorodnych pierwiastków etnicznych na jeden odlew. Nietylko w Rosyi, ale na całym obszarze stosunków ludzkich ścierają się z sobą dwa poglądy: jeden widzi rękojmię postępu cywilizacyi w różniczkowaniu się ludzkości na odmienne żywioły, drugi zaś przeciwnie w przetwarzaniu się ich na jednorodne, a najdalszem marzeniem wyznawców ostatniego jest — mówiąc językiem biblijnym — „jedna owczarnia," obejmująca cały świat. Otóż ks. Uchtomski jest bliższym poglądu drugiego, niż pierwszego. Jemu wcale nie chodzi o zachowanie Polaków, jako potrzebnego i uprawnionego czynnika cywilizacyi, ale o łagodne rozpuszczenie ich w roztworze państwa rosyjskiego. Jeśli więc mówi, że „asymilacya dostępnych dla takiego przetwarzania się pierwiastków jest pożądana i niezbędna," to nie „zmienia barw" i nie przechodzi pod sztandar *Now. Wrem.*, tylko daltonizm publicystów warszawskich widzi kolor zielony w jego latarce czerwonej. Zamiast więc jemu czynić wyrzuty, niech wyleczą własne oczy. Wtedy nie będą potrzebowali ani dziwić się, ani przerażać, ani kryć faktów, ani skarżyć się na zmiennych Brutusów. Powtarzamy przytem dawną naszą przestrogę: niech nie zatapiają się w czytaniu nawet tak sympatycznego organu, jakim są *St. Pet. Wiedomosti*, a natomiast niech uważniej studyują *Prawit. Wiestnik.* Jest to zegar wieżowy, według którego należy regulować pojedyncze zegarki dziennikarskie, jeżeli one mają wskazywać ściśle godziny.

Nowe roje.

Prawda, że tak zwane „secesye" — odszczepieństwa — zdarzają się wszędzie. Zwykle żywioły ruchliwe, niezadowolone z ospałości i ciasnych widnokręgów jakiegoś stowarzyszenia, występują zeń i zakładają inne, a nieraz z tego nowego ula po pewnym czasie wylatuje inny i osiada we własnym. Jest to nietylko objaw częsty, ale nawet pocieszający, wszakże tam tylko, gdzie — że tak powiemy — istnie-

ją warunki sprzyjające licznym pasiekom społecznym. Gdzie zaś zaledwie jeden rój ludzki może się wyżywić, tam kilka zginąć musi. Otóż takie położenie zachodzi u nas. Co lat kilka z redakcyi jakiegoś pisma peryodycznego, które nie może zdobyć dostatecznego koła abonentów na pokrycie kosztów wydawnictwa, wylania się nowe, które rozdziela jeszcze ten mały zastęp i wiedzie żywot suchotniczy; od klubu cyklistów oderwała się grupa, która usiłowała założyć drugi; z dawnego Towarzystwa ogrodniczego wyciekają członkowie do nowego; wreszcie, pomimo że dwie stałe wystawy obrazów w Warszawie popisują się ubóstwem, powstaje trzecia. Niestety, trudno w tym ostatnim wypadku, jak zresztą w wielu innych, odmówić niezadowolonym słuszności. Salon Krywulta jest przedsiębiorstwem prywatnem, a Towarzystwo zachęty sztuk pięknych wytęża wszystkie siły, ażeby zarówno artystów, jak publiczność zniechęcić do swego przybytku. Zarząd tej instytucyi przeszedł w ręce bądź rutynistów, bądź ludzi nierozumiejących jej zadań i nieczujących jej potrzeb. Czy dziwić się można, że ci, którzy widzą w społeczeństwie gorszącą obojętność dla sztuki, którzy pragnęliby tę lodowatą jego powłokę stopić ogniem swych serc i promieniami swych dzieł, którzy przez lata całe pasują się między chęcią rozdmuchania przygasłych iskier artyzmu w kraju własnym a koniecznością życia, zmuszających do pracy w obcych, że ci ludzie myślą o założeniu nowego ogniska, mającego zadowolić ich dążenia i nadzieje? Ale z drugiej strony, czy nie lepiej byłoby stary ul oczyścić ze starych plastrów i trutniów?

Złudzenie.

Że *Cyklista* wierzy w wielkie swoje posłannictwo i że cały świat ma dla niego o tyle wartość, o ile posiada drogi i ścieżki wygodne dla roweru — to objaw bardzo naturalny; ale że chce przejeżdżać wszystkich, którzy mu na drodze staną, to trochę za wiele pretensyi. W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* zaznaczyliśmy rozwijającą się u nas manię zakładania pism sportowych. Jakkolwiek uwaga ta była wyrażona poważnie, a *Cyklista* tylko w niej wspomniany, uznał on za właściwe przemknąć na swym polemicznym rowerze tak blizko *Prawdy*, ażeby na nią padło kilka kropel błota ulicznego. Na ten *record* odpowiemy krótko. Przedewszystkiem my nie „wymyślaliśmy“ i nie „napadaliśmy,“ gdyż nie stoimy na tym poziomie umysłowym i obyczajowym, który wystarcza może niejednemu „mistrzowi jazdy,“ ale dla nas byłby za nizkim. Powtóre szanowny nasz przeciwnik, mimo całej swej czci dla dwu kółek, powinien jednak zauważyć różnicę pomiędzy pismem sportowem, które służy tylko rozrywce, a fachowem, które ogarnia pewną grupę interesów ekonomicznych. Cukrownictwo, chmielarstwo itp. to są ważne gałęzie wytwórczości materyalnej kraju, podczas gdy cyklizm jest tylko zabawą. Kładziemy na to nacisk, że: tylko zabawą, bo nawet nie stał się u nas produktem technicznym. Gdyby *Cyklista* podniósł swój dumny głos w Anglii, Francyi, Ameryce, gdzie fabrykacya welocypedów stanowi dział przemysłu — miałby pewną słuszność; ale gdy on domaga się praw organu, reprezentującego poważną dźwignię ekonomiczną, u nas, gdzie kilka tysięcy ludzi jeździ, w większej części bez celu i pożytku, na zagranicznych maszynach, to zdradza pretensyę, która po zajego własnem złudzeniem nie ma żadnego gruntu. Dopóki hodowla koni wyścigowych służy tylko do urządzania igrzysk, połączonych z grą hazardowną, dopóki rowery służą również do urządzania igrzysk i wycieczek, dopóty nie możemy uważać za objaw pomyślny mnożenie się takich pism, jak *Jeździec i myśliwy* oraz *Cyklista*, ani stawiać ich na równi z wydawnictwami, poświęconemi pracy i wytwórczości ekonomicznej.

Niewinne baranki.

Jak wiadomo, ci, którzy najbardziej gnębią i prześladują, najgłośniej krzyczą, że są gnębieni i prześladowani. Nie Niemcy drażnią, nękają, wypierają Polaków, ale Polacy Niemców. Głosi to cała Germania, począwszy od najmizerniejszego *blattu* w jakimś zakątku, aż do ministrów i posłów w parlamencie. Według nich Polacy — to naród okrutny, nietolerancyjny, niedający teutonom spokoju. Niemcy zaś — to stado dziwnie łagodnych, cierpliwych baranków, które wilkom nawet wody nie mącą, a mimo to są ciągle przez nich napastowano. Jako świeży ojaw tej taktyki nadesłano nam kilka rysunków, służących jako karty pocztowe. Na jednej z nich biedny Michałek niemiecki wypędza kijem lwa, a pod tym obrazkiem wierszyk:

Ty sądziłeś, że prawo niemieckie
Jest już rozbite zupełnie,
Żie znasz niemieckiego Michela,
On ci skórę tęgo wygarbuje.
Nawet niemiecka łagodność (!) ma swój
Niech ją dyabli wezmą [kres,
Za dużo ona już wycierpiała (!)
Od Czechów i Polaków.

Biedny Michel-męczennik! On tyle wycierpiał — od nas!

Mamut.

Rzecz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa! Rolnicy nasi, szukając środków wzmocnienia swego bytu, radzą nad ulepszeniem hodowli i usilują zastosować rożne wypróbowane na Zachodzie sposoby żywienia tudzież polepszenia ras krów, wołów, owiec itp. Ktożby jednak przypuszczał, że w poszukiwaniu i hodowaniu stworzeń potrzebnych pójdą oni dalej, niż ktokolwiek na zachodzie Europy lub w innych częściach świata? Oto w jednej z okolic naszego kraju w skromnem ukryciu wyhodowano... mamuta! Nie wiemy dotąd jeszcze, jaki on pożytek przynosi gospodarstwu, jakie ma zastosowanie w rolnictwie, ale zaznaczamy fakt niezaprzeczony, prawdziwy, bo stwierdzony naocznie. Mamut ten, dwunożny i mówiący, ukazał się na pierwszem w sezonie bieżącym posiedzeniu sekcyi rolnej i zwrócił powszechną na siebie uwagę. Po bardzo sympatycznym odczycie p. A. Hempla o praktykantach gospodarczych, powstał on i zabrał głos wobec prezydyum i licznych słuchaczów: „Dziwne pretensye — żeby dziedzic się kształcił! Co to może kogo obchodzić? To rzecz prywatna. Dla dziedzica nauka nie jest potrzebną, bo on zawsze będzie miał oficyalistów, którzy mu poprowadzą gospodarstwo! Wreszcie żaden posiadacz gruntu, a więc i chłop nie powinien się kształcić. Należy tylko starać się o to, ażeby było jak najwięcej uzdolnionych oficyalistów dla dziedzica, który sam nie powinien sobie głowy zaprzątać nauką!..“ Słuchacze skamienieli, prezydynm usta i oczy szeroko otworzyło, ale nikt nie zawołał: „Mamut redivivus!“ Fakt ten jednak może mieć poważne znaczenie. Prezydyum bowiem powinno z niego wyciągnąć wniosek następujący: 1) W prowadzeniu dyskusyi ma być ład i ścisłość. 2) Ludzi mówiących od rzeczy należy pozbawiać głosu, ażeby nie zabierali drogiego czasu, potrzebnego na sprawy ważne. 3) Zwiększenie liczby członków jest pożądane, ale dobrze byłoby zarazem wiedzieć i o ich poziomie umysłowym, zwłaszcza tych, którzy pragną „głos zabierać.“ 4) Należy poprosić pp. sprawozdawców pism codziennych, ażeby nie byli zbyt hojni w robieniu „bohaterów chwili,“ tj. żeby zechcieli pomijać „głosy“ różnych radców, najczęściej nie mające najmniejszego znaczenia. To skwapliwe zaznaczanie, kto przemawiał, wytworzyło specyalistów od dyskusy, którzy nieraz mącą i mitrężą sprawy ważne, ze szkodą dla ogółu rolników, po to jedynie, ażeby figurować w sprawozdaniach.

Rozbicie pociągu.

Na stacyi Praga kolei Nadwiślańskiej d. 26 z. m. o 5-ej z rana pociąg towarowy wpadł na wagony, zajmujące linię zapasową po za stacyą. Parowóz wyskoczył z szyn i zarył się w ziemię, 10 wagonów z węglem kamiennym zdruzgotało się zupełnie. Stojąca obok plantu budka murowana zwrotniczego rozsypała się w gruzy; plant zepsuty na przestrzeni kilkudziesięciu sążni. Z ludzi podobno nikt nie doznał „poważniejszego szwanku.“ Wiemy dotąd tylko, że przyczyną katastrofy było złe nastawienie zwrotnicy. Dlaczego jednak źle ją nastawiono, pozostaje to tajemnicą. O ile wiemy z licznego szeregu katastrof kolejowych, których przyczyną było złe nastawienie zwrotnicy, zawsze okazało się później, że tę zwrotnicę nieszczęsną nastawiał człowiek, który czuwał na służbie bez przerwy całą dobę lub kilkanaście godzin. Ponieważ znana jest powszechnie aż nadto dobrze oszczędność kolei Nadwiślańskiej w personelu służbowym, więc i tym razem nie będzie nieprawdopodobnom, jeżeli przypuścimy, że katastrofę wywołało przeciążenie pracą. Obliczmy teraz wartość parowozu, dziesięciu wagonów zdruzgotanych, towaru zepsutego, budki rozwalonej, koszt położenia na nowo podkładów i szyn, wreszcie mitręgę w ruchu pociągów, a będziemy mieli pokaźną sumę strat, z której umiarkowany procent mógłby dać utrzymanie kilku nowym pracownikom, czuwającym bez wyczerpania sił nad zwrotnicami. Kto wie, gdyby kolej Nadwiślańska stworzyła była posadę buchhaltera, któryby specyalnie obliczał straty, wynikło z wypadków i zestawiał je z przypuszczalną sumą płacy dla zwiększonej liczby pracowników, których w rzeczywistości niema, możeby już dawno zdolano właściwiej zrozumieć oszczędność: dałby ją... zwiększony personel służby.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Antoni Okolski.

W porze, kiedy miał jeszcze duży zapas sił umysłowych i energii do pracy, skończywszy dopiero 58 lat życia, odszedł ze świata. Działalność naukowa Okolskiego wydała plon obfity. Pozostawił on szereg dzieł i rozpraw, poświęconych rozmaitym dziedzinom prawa, wychowania publicznego i gospodarstwa społecznego. Pierwszymi poważniejszymi jego krokami na tem polu były rozprawy: „O urzędzie prokuratora w postępowaniu karnem,“ „O sporach administracyjnych“ i „O stosunku państwa do oświaty narodowej,“ które zyskały mu trzykrotnie tytuł doktorski. Dalej poszły dzieła obszerniejsze: „Wykład prawa administracyjnego“ (3 t., 1880), „Zasady prawa cywilnego“ (1885) i „Ustrój państw“ (1888). Oprócz „Przewodnika dla sędziów gminnych“ napisał on mnóstwo obszernych traktatów i artykułów: o rozwoju dobroczynności publicznej w Polsce, o kwestyi kobiecej według najnowszego prawodawstwa, o systemie propinacyjnym szwedzkim, o lichwie, o reformie wykształcenia klasycznego, o Carlyle'u, o Ruskinie, o pauperyzmie w Anglii, o instytucyach ziemskich w Rosyi itd. Przez lat 20 kilka wykładał w uniwersytecie warszawskim procedurę cywilną, prawo administracyjne, a w ostatnim czasie nawet zastępczo po Holewińskim prawo cywilne.

Prace Okolskiego nie mają znaczenia ani klasycznych, ani źródłowych, są to wszakże bardzo pouczające podręczniki i rozprawy, które do wiedzy ogółu wniosły dużo światła w sprawach pierwszorzędnej wagi. Nie był to bowiem samodzielny badacz lub oryginalny myśliciel, ale profesor, który uczył z wielką znajomością rzeczy i jasnością wykładu. Ponieważ zaś pracowitość jego była ogromna, a gotowość do wyjaśnienia każdej znajomej mu kwestyi niezmordowana, przeto nasz rozwój naukowy zawdzięcza mu bardzo dużo. W obecnej chwili ubytek jego nie da się zastąpić żadną inną gotową siłą.

Henryk George.

Henryk George, zmarły w zeszłym tygodniu w Nowym-Yorku, urodził się w r. 1839. Pierwiastkowo zecer z zawodu, później poszukiwacz złota w Kalifornii, skończył dni swoje jako publicysta i wpływowy polityk zyskawszy przedtem niebywały rozgłos paru pracami ekonomicznemi.

Wyłożył poglądy swoje głównie w dziele „Postęp i nędza“, bo inne prace były tylko prostem rozwadnianiem i powtarzaniem tego, co powiedział w pierwszej książce swojej. Wywody jego teoretyczne i wnioski praktyczne, które wyciągnął z założeń swoich, obiegły przed kilkunastu laty cały świat cywilizowany. Nawet popularność, którą Bellamy cieszy się obecnie, nie może mierzyć się z rozgłosem Henryka George'a. Sprawa unarodowienia ziemi stała się popularną na obu półkulach, liczne głosy zaczęły żądać wcielenia w życie zasady „jedynego podatku“, t. j. upaństwowienia gruntów i oddawania ich w dzierżawę przez społeczeństwo, oraz przeniesienie wszystkich podatków i ciężarów społecznych na ziemię. Powodzenie to jednak było chwilowe i rozwiało się oddawna.

Istniały po temu bardzo poważne powody. Teorya bowiem oryginalnego Amerykanina nie posuwała nauki naprzód, lecz przeciwnie cofała ją wstecz do okresu, w którym fizyokraci francuscy kładli podwaliny ekonomii politycznej. Z punktu teoretycznego H. George jest tylko pogrobowcem tej szkoły, który wysnuł pewną doktrynę bez świadomości o tem, że istniała niegdyś na świecie. W wywodach swoich streścił on tylko to, co widział w życiu codziennem Kalifornii — był zwierciadłem, które skupiło rozproszone promienie i wytworzyło z nich obraz. Przestrzenie dziewicze, leżące nad Pacyfikiem, nie znały jeszcze antagonizmu pomiędzy kapitałem i pracą, bo ta ostatnia miała wciąż wolny dostęp do niezajętych gruntów. Mienie indywidualne wzrastało tam szybko — pod działaniem rozwoju społecznego. Ktoś zajmował pewien kawałek ziemi, na którym po kilku latach powstawało miasto, i właściciel, bez własnej pracy, zostawał milionerem, zgarniając tylko rezultaty postępu kulturalnego. Stosunek pomiędzy kapitałem i pracą zaostrzył się dopiero naówczas, gdy swobodny dostęp do gruntów, skutkiem zajęcia ich na własność osobistą, został powstrzymany. Właśnie te i inne pokrewne fakty natchnęły zecera zamorskiego myślą, że siły urodzajne ziemi są jedyną potęgą wartościotwórczą, że właściciele gruntów zgarniają daremnie rezultaty rozwoju społecznego, i że praca nie stwarza ani źdźbła nowej wartości, jedynie produktom ziemi nadaje stosowniejsze kształty. Doktryna Amerykanina była teoryą nawskroś miejscową, streszczającą stosunki pewnej okolicy i wysnuwającą wnioski odpowiednie. Jak zaznaczyliśmy, z punktu naukowego była ona uwsteczmieniem, atoli, tak samo, jak poglądy dawnych fizyokratów, stała pod wielu względami wyżej od szablonów ekonomii mieszczańskiej: porzuciła grunt jałowych względnie zacieków w czynniki, wyznaczające cenę towarów, zwróciła się do analizy potęg wartościotwórczych i wartość pojęła jako klucz do zrozumienia podziału wytworu ogólno społecznego.

Stosunki europejskie były zanadto posunięte, ażeby dały się rozwikłać za pomocą założeń teoretycznych i wniosków praktycznych, wziętych z pustkowia historycznego. Grunta zostały oddawna zmonopolizowane w naszej części świata, punkt ciężkości społecznej przeniósł się ze wsi do miasta, od renty ziemskiej do stosunku pomiędzy kapitałem przemysłowym a pracą. „Ruch nacyonalistyczny“ był na gruncie europejskim poniekąd utopią, o ile wykraczał po za krytykę i dążył do celów praktycznych. To też niebawem ustał, zwolennicy zaś George'a pomnożyli także zastępy innych stronnictw skrajnych, europejskich z ducha swego i pojmowania. Jedynie Hertzka w Niemczech i kilku innych niedobitków walczą jeszcze o ideały mistrza— bez posłuchu i wpływów. Natomiast myśliciel amerykański wywarł wpływ głębszy na życie kolonij australskich — teorye jego, wzięte z pustkowia kalifornijskiego, nadawały się wybornie do reformy stosunków kolonialnych. W N. Zelandyi i w jednej z prowincyj N. Holandyi wcielono w życie zasady, bardzo pokrewne dążeniom H. George'a.

George był niewątpliwie umysłem bardzo oryginalnym, lecz polot wyobraźni nie zdołał zastąpić braku wiedzy i nie uchronił go od subjektywizmu. Zabłysnął jak meteor i wypalił się zupełnie, choć żył jeszcze. Przeżył on chwilę smutną: pogrzebania wpływów swoich w Europie, bo co do Stanów Zjednoczonych, dotrwały one, acz zmniejszone, do dnia jego śmierci.

K. R. Żywicki.

BADANIA NAUKOWE.

CZARODZIEJE W ŚWIETLE NAUKI.

(Przyczynek do psychologii szamanów)

Legendy zachowały pamięć o pewnych czarnoksiężnikach, praktyka zaś przesądna ludu wskrzesza ich niekiedy jeszcze w chwili obecnej. Nauka ścisła odzywała się lekceważąco o tego rodzaju osobach i spoglądała na przedstawicieli kunsztu tajemniczego jako na pospolitych wydrwigroszów. Zdaje się wszakże, iż powien zwrot nastąpił w usposobieniu dotychczasowem i że niedaleka przyszłość poważniej będzie traktowała ten przedmiot. Przynajmniej można tego oczekiwać co do dwóch kategoryj działalności czarodziejskiej. Mamy pod ręką prace, pisane przez ludzi, przyzwyczajonych do ścisłości naukowej *). Andrew Lang, znany folklorysta angielski, poddał rozbiorowi tak zwanych „incombustibles,“ tj. czarodziejów, którym ogień nie szkodzi; profesor zaś fizyki, J. W. Barrett, poświęcił około trzystu stronic przedstawieniu studyów swoich nad „dowser'ami,“ tj. osobami, zdolnemi odczuwać obecność żył wody.

Istnieją wśród ludu angielskiego i prawdopodobnie także w innych krajach specyaliści, wynajdujący wodę podziemną za pomocą t. zw. laski czarodziejskiej, *la baguette divinatoire*. Taka osoba chodzi po polu, na którem trzeba odkryć źródło wody, trzymając w ręku kawałek rozgałęzionego pręta, mającego kształty litery Y. Oba rozszczepione końce znajdują się w dłoni poszukiwacza, pojedynczy zaś koniec jest zwrócony naprzód. Barrett opisuje próby, które robił z jednym takim fachowcem.

„Byłem obecny przy doświadczeniach z prętem czarodziejskim — pisze on. Muszę przyznać, że nigdy nie oglądałem osobliwszego zjawiska. Poszukiwacz, starzec miłej powierzchowności, chodził pewien czas po polu, na pozór bez skutku, trzymając pomiędzy wielkim a wskazującym palcem kawałek stali, mający kształty podkowy. Zapewniał nas, że to narzędzie wskazywało mu obecność wody: kiedy zaczynało się ono poruszać, brał dużą gałęź, zgiętą w pałąk i trzymał ją w obu rękach, przyciskając łokcie do ciała. Wtedy odbywało się dziwne widowisko pomiędzy nim a laską, coś w rodzaju pojedynku. Pręt wyginał się na prawo i na lewo, kurczył i wyciągał mięśnie rąk i ramion, póki nie rozłamał się na dwoje. Następowała scena, bardzo przykra dla nieprzyzwyczajonego widza. Starzec chwiał się i pochylał ku osobie najbliżej stojącej. Widocznie doświadczenie go wyczerpywało, chociaż gdy go później zapytałem, co z nim się działo, odpowiedział tylko tyle, że serce uderza z niezwykłą gwałtownością.“

Badając próby wyszukiwania żył wody, widzimy w nich objawy dwojakiego rodzaju — jedne zewnętrzne, mianowicie drgania pręta, drugie wewnętrzne, umiejscowione w osobie działającej.

Co do pręta, zaczyna on poruszać się gwałtownie w pobliżu źródła wody, przyczem drgania ustają, gdy poszukiwacz oddala się od danego miejsca. Ale dość będzie, ażeby zawrócił się i przyszedł do tego samego punktu, a już gałązka zaczyna się znowu wyprężać. Niekiedy zdarzają się inne objawy. Pomijamy je, jako względnie obojętne. Jak ujrzymy niebawem, przyczyna poruszeń pręta tkwi w osobie doświadczającego.

Zachowanie się poszukiwacza wody przedstawia daleko większą rozmaitość. Niektórzy odkrywcy źródeł czują jak gdyby chodzenie mrówek po ciele, gdy zbliżają się do ukrytej żyły wody, inni doznają coś w rodzaju wstrząśnienia elektrycznego lub mają bóle w okolicy żołądka. Są tacy, których mięśnie zaczynają kurczyć się, chód staje się niepewnym, żołądek ściska się i następują wymioty. Zwłaszcza „burza mięśniowa“ należy do zjawisk bardzo częstych. I sami poszukiwacze wskazują stan swój wewnętrzny jako istotną przyczynę ruchów pręta. „Nie pręt mną kieruje — odezwał się któryś z pośród nich — lecz uczucie wewnętrzne, którego doświadczam!“ Jeden z takich zawodowców wyspowiadał się przed Barrettem: „Czuję jak gdyby chodzenie mrówek po ciele: pręt zaczyna wyprężać się w pobliżu żyły wodnej, podnosi się zaś ku górze, gdy przechodzę po nad nią. Uczuwam wtedy w sobie pewną błogość — *a bracing sensation*, która rozpoczyna się od nóg, wchodzi w kark i plecy, później w ramiona i ręce i udziela się prętowi. Uczucie to znika, gdy oddalam się od wody, i powraca, kiedy przechodzę w jej sąsiedztwie. W punkcie, w którym woda płynie, pręt wykręca się i wypręża, tak iż nie mogę go utrzymać spokojnie.“

I taki poszukiwacz nie myli się. Nie znaczy to, ażeby jego przeczucia — *expectant attention*, jak Barrett nazwał stany odpowiednie — okazywały się zawsze słusznemi; atoli bądź co bądź przypadki, podane i sprawdzone przez fizyka angielskiego, zupełnie wystarczają dla podważenia dotychczasowej niewiary w możliwość znalezienia wody w ten sposób. Wybierzemy z pośród wielu opisów jeden, bardzo charakterystyczny. Pewien obywatel ziemski w hrabstwie Sussex kazał kopać studnię, lecz chociaż zawezwał inżynierów, otrzymał rezultaty niezbyt zadawalające. Jedna ze studni kosztowała

*) M. F. Barrett w ostatnim tomie *Proceedings of the Society for Psychical Researches*; A. Lang w przeszłorocznym *Contemporary Review* (sierpień).

go około dziesięciu tysięcy rubli. Zwrócił się naówczas do niejakiego Mullinsa, specyalisty od wyszukiwania wody, przebywającego w innej okolicy kraju. Przybywszy na miejsce, zupełnie nieznane, Mullins natychmiast wskazał bieg żyły podskórnej, o której zresztą właściciel wiedział, oraz wyznaczył jej głębokość, około 50—60 stóp pod powierzchnią. Woda, jak się okazało, była w głębokości 55 stóp. Pochyłość wzgórza zwróciła uwagę poszukiwacza. Obywatel ziemski, który go zawezwał, lekceważąco spoglądał na te próby prostaka, gdyż inżenierzy badali ów obszar i zawyrokowali, iż wody tam niema. Mullins tymczasem wskazał tam dwa źródła wody, wzajemnie niezależne i określił ich głębokość. Właściciel majątku był tak zaciekawiony, iż pomimo nieufności kazał kopać. Przepowiednie poszukującego były słuszne.

Nastręcza się pytanie, czem należy wytłomaczyć taką osobliwą zdolność, zakrawającą na przeczucie? Z przytoczonych faktów trzeba wywnioskować, że pewien stan wewnętrzny jest istotnem źródłem umiejętności, o której mówimy, i że pręt służy tylko za środek uzewnętrznienia emocyi, ogarniającej poszukiwacza. Na podstawie zeznań osób badanych, Barrett twierdzi, iż ów stan występuje tylko wtedy, gdy odkrywca żył wodnych wprawi siebie w pewne wyczekujące usposobienie, napręży nerwy swoje, które dopiero dzięki takiej wytężonej uwadze—*expectant attention* — staną się czulszymi na podniety, z zewnątrz nadchodzące. Fizyk angielski nie rozstrzyga kwestyi, lecz poprzestaje na nagromadzeniu materyałów, wskazujących kierunek, w którym należy szukać rozwiązania. Zaznacza on istnienie pokrewnej zdolności wielbłądów do odczuwania wody: w pustyni, gdy trzeba wynaleźć źródło, karawana powierza się instynktowi zwierząt, który nie zawodzi. Są także fakty, świadczące, że i ludzie posiadają podobne czucie. Czarni na Jamajce już ze znacznej odległości odczuwają obecność strumieni, pewien specyalny zapach jest dla nich zwiastunem wody. Podobne typy zdarzają się i wśród naszej cywilizacyi. W liczbie znajomych Barretta był lekarz, który czuł bliskość wody za pomocą lekkiego bólu w stawach i przypisywał ten swój stan usposobieniu reumatycznemu. Niektórzy z poszukiwaczy mówią o błogości wewnętrznej, która ich ogarnia w bliskości wody, opis zaś tego stanu wykazuje jego pokrewieństwo ze świeżością, odczuwaną przez wielu, gdy są nad wodą. Słowem, pewna wrażliwość czuciowa byłaby źródłem umiejętności odszukiwania wody podskórnej. Badacz angielski zaznacza, że ta sama osoba nie zawsze posiada tę szczególną zdolność w jednakowem napięciu. Porównywa on tę zmienność usposobienia z powszechnie znanym faktem, iż wyżeł odznacza się jednego dnia subtelniejszym węchem, innego bywa na podniety nieczuły. „Mniemam — pisze on w końcowym ustępie swojej rozprawy — że czytelnik bezstronny i uważny przyzna mi, iż fakty, wzięte w całości, przemawiają silnie na korzyść istnienia pewnego instynktu lub pewnej zdolności, właściwej niektórym osobom. Wytłomaczenia tej zdolności trzeba szukać nie w świadomem doświadczeniu specyalistów tego rodzaju, lecz w obszerniejszej sferze życia bezwiednego.“ H. de Varigny, który w pewnem piśmie francuskiem zdaje sprawę z poszukiwań Barretta, wprowadza poprawkę do przytoczonego ustępu. Protestuje on przeciw wyrażeniu, iż badana zdolność jest właściwa tylko pewnym osobom, i zamiast tego przyjmuje, że jest ona powszechną, tylko że niektóre jednostki posiadają ją w większem napięciu, niż inne.

Barrett wziął się bardzo systematycznie do rzeczy i prowadził studya metodyczne. Próbował on dokonywać badań podczas pory nocnej, przyczem osoby, odkrywające wodę, miały oczy zawiązane. Sprowadzał dwóch poszukiwaczów, jednego niezależnie od drugiego, i kazał im badać tę samą miejscowość. Posługiwał się wiedzą specyalistów geologów i ich wskazówki przeciwstawiał wynikom poszukiwań znawców ludowych. Kopał studnie w sąsiedztwie punktów, w których była woda, tj. tam, gdzie, według studniarzy, być nie powinna. Ogół tych badań dał wyniki bardzo zadawalające, zwłaszcza zaś doświadczenia ostatniej kategoryi. Właśnie na podstawie materyału, tak uważnie zebranego, uczony angielski doszedł do wniosku, iż praktyki odkrywania wody nie zawsze są oszustwem.

Działanie ukrytej wody podskórnej na organizm ludzki musimy więc przyjąć jako fakt wiarogodny. Co więcej, możemy nawet jako tako pojąć mechanizm tego rodzaju wpływów. Zachowywanie się wielbłądów, lekkie bóle reumatyczne, doznawane w stawach, subtelność powonienia murzynów jamajskich, uczucie świeżości, ospałości i błogości w powietrzu wilgotnem, wszystko to są stany fizyologiczne i psychiczne, dla nas zupełnie zrozumiałe. Przypuszczając możliwość istnienia typów, bardzo wrażliwych na działanie wody, nie wykraczamy po za utarte szlaki. Inaczej rzecz się ma z kategoryą czarodziejów, o których A. Lang zebrał materyał. Chodzi tu o osoby, które mogą igrać bezkarnie z ogniem, pogrążać ręce w ukrop, kłaść na ciało żarzące się węgle, stąpać po rozpalonych metalach lub kamieniach. Z powodu średniowiecznych sądów bożych, które nakazywały podejrzanym o zbrodnię wykazywać niewinność swoją za pomocą doświadczeń z ogniem, poruszano ten przedmiot już kilkakrotnie, a ponieważ niepodobna było zaprzeczać faktom, usiłowano wytłomaczyć takie osobliwe zjawisko parowaniem wody z ciała, otaczającej je jak gdyby pokryciem. Nie wiem, o ile tłomaczenie to utrzymało się i przedewszystkiem o ile przedstawia dostateczne wyjaśnienia bezkarności pewnych natur wobec ognia. Pozostawiam więc stronę fizyologiczną badanego objawu na uboczu i zatrzymam się nad faktami, dotyczącymi tej szczególnej zdolności, stwierdzonej w ostatnich czasach u różnych ludów barbarzyńskich przez takich świadków, jak Bazyli Thomson, którzy swemi innemi pracami zasłużyli na naszą ufność. A. Lang kilkakrotnie zaznacza, iż według opinii publicznej plemieńców taka wytrzymałość skóry na ogień jest właściwa tylko niektórym osobom i bywa przekazywana dziedzicznie. Z wielu faktów, podanych przez folklorystę angielskiego, przytoczymy tylko jeden: Stephan Ponger był świadkiem pewnej uroczystości wśród Tamilów w Indyach Przedgangesowych. „Miałem możność—pisze on—być obecnym podczas obrzędu przechodzenia przez płomienie. Wykopano rów, mający około dwudziestu jardów długości, sześć szerokości i dwa głębokości. Nałożono tam drzew i gałęzi, tak iż utworzył się stos około 4—5 stóp wysoki. Zapalono go w południe, około czwartej gorąco było tak silne, iż osoby, dozorujące ognia, chociaż zaopatrzone w długie pogrzebacze, nie mogły pozostawać przy stosie dłużej nad jedną minutę. W odległości kilku metrów wykopano drugi rów i napełniono go wodą. Gdy ukończono wszystkie przygotowania, sześciu członków kasty Klingów, mających tylko przepaski dokoła bioder, wyszło z tłumu i wśród krzyków, hałasu bębnów i innych instrumentów, jeden za drugim wstąpili w płomień. Dokonawszy tego, pogrążyli się w rów z wodą. Żaden z nich nie miał śladów oparzeliny.“ A. Lang zestawia z tym faktem opowiadanie znanego chemika Crookes'a o medyum, Dawidzie Homie: „Widziałem — pisze ten uczony — jak Home kładł ręce w piec i grzebał w żarzących się węglach, czego niepodobna było dokonać, nie spaliwszy palców. Brał on kawałek węgla, kładł go na dłoni i trzymał, jakkolwiek płomień lizał mu palce. Home nie wykazywał oparzenia.“

Podaliśmy tylko fakty, nie zapuszczając się w możliwe ich wytłomaczenie. Jeśli są prawdziwe, znajdą naturalnie, prędzej lub później, wyjaśnienie naukowe, tak jak Barrett dokonał tego względem studniarzy. W końcu zaznaczymy jeszcze istnienie podobnego rodzaju badań nad inną kategoryą wierzeń ludowych, mianowicie nad osobami, posiadającemi urocze oczy. Może kiedykolwiek powrócimy do tego przedmiotu, tutaj zaś zauważymy, że to zjawisko znalazło zupełne wyjaśnienie w faktach hypnotyzmu i pokrewnych stanów ducha.

Ł.

LITERATURA I SZTUKA.

„BRANKI W JASYRZE.“

Panorama“ pp. Popiela i Rozwadowskiego sprawiła na mnie wrażenie — smutne. Ale smutek ów nie szedł z obrazu, nie doznałem litości na widok tych kilku postaci niewieścich, stojących i siedzących przy wielkim wozie z łupami i strzeżonych przez Tatara bez wyrazu — nie; przykro mi było, że artyści nasi tak dalece zwątpili o guście publiczności warszawskiej, że starają się ją bawić *sztuczkami* zamiast *sztuką*. Nie jestem bynajmniej przeciwnikiem panoram. „Tatry“ są dla mnie bardzo piękne, ale na nie poświęcono dwa lata studyów i — dwieście tysięcy rubli, a „Branki w Jasyrze“ nie wyglądają na tak sumienną pracę. Wzięto poprostu pierwszy lepszy „szeroko,“ dekoracyjnie, szkicowo traktowany obraz, którego nie chciało się wykończyć, gdyż to nie popłaca — dodano pół łokcia fałszywego terenu, wmówiono w nas, że jesteśmy w namiocie tatarskim, z którego widzimy... kawałek płachty ze sznurkiem na kołku, wbitym w ziemię i jakieś kotary, dodano oświetlenie sztuczne, w którem pewne zamazania wyglądają bardzo artystycznie — i jest diorama, czyli — interes zrobiony. Niestety jednak nic to nie pomaga do wywarcia jakiegokolwiekbądź innego wrażenia, oprócz wyżej wzmiankowanego smutku. W „namiocie“ pod kotarami postawiony stolek, nakryty dywanem, nie przyczynia się wcale do ożywienia martwoty, panującej na obrazie. Na prawo pod namiotem kilku Tatarów rozmawia z taką flegmą, jakby nie widzieli stojących niedaleko od nich zaspanych i zapłakanych, dość sztywnych branek. Jeden wprawdzie gra na bałabajce, ale po za tem nic nie zdradza w nich tych dzikich i lubieżnych drapieżników, którzy byli postrachem naszych ziem pogranicznych. Stojący na straży jeździec z piką również nie widzi przed sobą kobiet i chociaż nieźle odcina się od krajobrazu, wygląda albo na zdjęcie fotograficzne z umyślnie tak ustawionego modelu, albo na drewniany manekin.

Pominąwszy tę okoliczność, że takich bezbarwnych scen nie wybiera się na treść do tego rodzaju utworów, brak życia tembardziej jest nieusprawiedliwiony, że ci siedzący pod namiotem Tatarzy tylko co musieli unurzać się we krwi, gdyż palą się jeszcze wsie okoliczne. Co prawda, ten „ogień“ wygląda jak źle namalowany, porwany wichrem piasek, oświetlony słońcem i niema w sobie nic... z ognia, a dym idzie sobie równiutko w jedną stro-

nę nad żółtym płomieniem, wyszlifowanym starannie — ale bądź co bądź spółka pp. Popiela i Rozwadowskiego chciała w nas wpoić przekonanie, że to jest pożar i musimy się z tem liczyć. Nie wiadomo także — i nawet jest to nader ciekawe — jaka pora dnia lub nocy panuje na obrazie. Jasno jest jak w dzień, chmur niema — więc powinno być słońce i jego cienie. Ale ani słońca, ani cieniów niema. Noc to przecież także być nie może, gdyż, jak powiedziałem, jest bardzo jasno. No, więc chyba zmrok, albo świt. Być może, ale w takim razie byłoby chyba znacznie ciemniej, niebo posiadałoby nie dzienne, lecz wieczorne i głębokie barwy, i na obrazie rozlanym byłby ten charakterystyczny, niebieskawy, z lekka fioletowy ton— szczególnie wobec pożaru, który znów musiałby być znacznie jaskrawszy i czerwieńszy. Wszystkiego tego niema. Krajobraz jest mdły, szaro-błękitny, ale czysto dzienną barwą szablonowej perspektywy, która znowu szwankuje, i nie otrzymujemy wrażenia przestrzeni, z wyjątkiem może jedynie tej części, gdzie bieleją w dali namioty.

Dlatego więc zrobiło mi się smutno na widok tego nieudolnego handlowo-malarskiego przedsięwzięcia, tem bardziej smutno, że pamiętam z tej samej epoki odtworzoną wspaniałą „Modlitwę“ Brandta. Tam nie potrzeba było żadnych sztuczek dla osiągnięcia wrażenia. Dziwna to doprawdy rzecz, dlaczego Towarzystwo Zach. Sz. P. tak mało ma... instynktu artystycznego w sprowadzaniu dzieł sztuki dla nas. Czyżby w jego zarządzie zabrakło — artystów?..

J. K.

W DALI.



Łódź posiada, jak przystoi siedzibie wielkiego kapitału i licznej rzeszy pracującej, swój proletaryat i pod tym względem dąży do zrównania się z innemi dwoma miastami. Dla zażegnywania tej zmory potrzebna jest dobroczynność urzędowa, ujawniająca się tam w istnieniu chrześciańskiego Tow. dobroczynności. O ile dobroczynność 300 tysięcznego grodu fabrycznego odpowiada potrzebie, można sądzić z następującego sprawozdania, podanego w korespondencyi do *Kuryera Codz.* Dowiadujemy się więc, że Towarzystwo liczyło w r. z. ogółem 1,330 członków, a dochodu miało 55,212 rs 49 k., wydatki zaś wynosiły 53,270 rs. 50½ k. W porównaniu z r. 1895 dochodu było mniej blizko o 6,000 rs. Utrzymanie przytułku dla starców i kalek kosztowało 9,385 rs., kuchni taniej — 495 rs., drugiej ochrony dla dzieci przychodnich—2,664 rs., na wsparcia tygodniowe i jednorazowe, z których korzystało 4,759 osób — 12 803 rs. Pozostałość z r. 1896 wynosiła 1,971 rs., co razem z remanentem z lat poprzednich stanowiło w d. 31 grudnia 1896 r. 100,788 rs. Pod opieką Tow. pozostaje pierwsza ochrona dla dzieci przychodnich, przytułek położniczy i kolonie letnie, która to instytucya posiada własne zarządy i rachunki. Dochód na r. b. przewidziano w kwocie 20,700 rs., wydatki zaś na 51,000 rs. Różnicę mają pokryć dochody niestałe z ofiar, zabaw, widowisk itp. W budżecie na r. b, przeznaczono 10,000 rs. na założenie 5 nowych herbaciarni, 2,000 rs. na utrzymanie projektowanego przytułku noclegowego, 15,000 rs. na budowę zakładu dla obłąkanych. Charakterystyczne: żaden z kamieniczników łódzkich nie chciał wynająć lokalu na przytułek noclegowy. Trzeba go więc wybudować, jak to uczyniła Warszawa.

Mińsk gubernialny. Wiceprezes Tow. rolniczego mińskiego zaznaczył wyraźnie na ostatniem zebraniu, „że wielu członków zalega bardzo w opłacie wpisowego, a nawet niekiedy wcale się zeń nie uiszcza, zmuszając tym sposobem radę do wykreślenia po dwóch latach, według brzmienia ustawy, nieakuratnych członków. W dodatku, co najważniejsza, nie można nigdy z tego powodu określić cyfry dochodów rocznych. Skutkiem nieakuratności takiej zachodzą w budżecie niepożądane powikłania i wydatki nie zgadzają się z oczekiwanymi dochodami. P. Woyniłowicz prosił członków, aby to mieli na względzie i pamiętali o akuratnem płaceniu wpisowego. Od siebie postawimy zapytanie, czy takiego lekceważenia dopuściliby się względnie zamożni członkowie kółka, gdyby pojmowali dobrze doniosłość zrzeszonej pracy i gdyby zdawali sobie sprawę, że wykonywając swe skromne obowiązki, czynią to nietylko dla innych, ale i w swoim interesie, gdyby nakoniec wielu z pomiędzy nich nie należało do Towarzystwa dlatego tylko, że *ça pose*? Na temże posiedzeniu poruszono kwestyę wzajemnego ubezpieczenia od ognia, gradu i pomoru. Ustawa takiej instytucyi nie została zatwierdzoną przez władzę, dlatego, że obejmowała zbyt szerokie ramy. Wobec tego Towarzystwo zamierza ją ograniczyć do ubezpieczenia nieruchomości i zboża i przesłać tak skróconą do Petersburga.

Petersburg. Po ukończeniu wielkiej kolei Syberyjskiej, t. j. za trzy lata, rząd przystąpi do budowy nowej niezmiernie ważnej drogi rosyjsko indyjskiej. Krańcowym punktem, do którego dochodzi kolej żelazna w posiadłościach angielskich w Indyach Wschodnich, jest miasto Peszawer, niedaleko Kaszmiru. Od tego punktu do rosyjskiej Samarkandy w linii prostej jest tylko 720 wiorst; przez tę przestrzeń należy zbudować kolej żelazną do połączenia w Samarkandzie z Zakaspijską, lecz górzysta miejscowość przedłuży zapewne linię. Z liczby 720 wiorst 420 przypada przez posiadłości afgańskie, 250 przez rosyjskie i 50 przez anglo-indyjskie. Linia jednak byłaby dłuższa, gdyż zbaczałaby do Kabulu, stolicy afgańskiej. Sama budowa nowej linii anglo rosyjskiej nie stanowi trudności, ze względu na stosunkowo małą odległość; ale żeby linia ta miała racyę bytu, należy połączyć Zakaspijską bezpośrednio z łącznicą sieci kolei europejskich, na przestrzeni przeszło 1,000 wiorst od Orenburga do Taszkentu, do którego odnoga kolejowa z Samarkandy już jest budowana. Ze względu na olbrzymie trudności, przy budowie kolei Orenbursko-Taszkenckiej przez zupełnie nagie, bezwodne stepy, wykonanie projektu wymaga wielkich nakładów. Po wybudowaniu kolei Syberyjskiej, nadzwyczaj ważnej dla stosunków handlowych europejsko-azyatyckich, droga do Indyj Wschodnich z Warszawy koleją trwać będzie dla pasażerów około sześciu dni; dla towarów, przy normalnym przebiegu pociągów, około dni dziesięciu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W ministeryum spraw wewnętrznych będzie otworzony nowy departament dobroczynności publicznej.

— *Jurid Gaz.* podała wniosek zwołania narady międzynarodowej delegatów sądowych w celu opracowania przepisów, ukrócających handel żywym towarem.

Szkoły. Średnia szkoła techniczna Rotwanda i Wawelberga, pod kierownictwem Mittego, w nowym własnym gmachu została uroczyście otwarta. Pomówimy o niej obszerniej.

— W szkołach handlowych nowego typu pod zarządem ministeryum skarbu, główna uwaga ma być zwrócona na naukę języków: francuskiego, niemieckiego i angielskiego, według nowej metody praktycznej.

— Z Petersburga nadeszła wiadomość o zatwierdzeniu politechniki w Warszawie.

— Robotnicy i oficjaliści „Huty Bankowej“ i kopalni węgla „Paryż“ oddawna płacą składki na utrzymanie szkół w Dąbrowie Górniczej, lecz dzieci wielu z nich nie mogły uczęszczać do szkół, gdyż brakło dla nich miejsca. Skutkiem skargi robotników, naczelnik okręgu górniczego zażądał budowy nowych szkół na kolonii Huta Bankowa i w Warpie. Wobec tego Towarzystwo „Huty Bankowej“ ofiarowało na otwarcie nowej szkoły sumę 10,000 rs., zarząd zaś kopalni „Paryż“ bezpłatne pomieszczenie w kolonii Warpie. Okazało się, że w latach ostatnich dochody ze składek na cele szkolne wynoszą przeszło 18,000 rs. rocznie, utrzymanie szkół zaś kosztuje tylko 15,232 rs., że skutkiem tego utworzył się kapitał zapasowy w sumie przeszło 19,000 rs. Kapitał ten oraz ofiara „Huty Bankowej“ użyte będą na otwarcie w Dąbrowie Górniczej dwu nowych szkół męzkich i jednej żeńskiej. Niezależnie od tego w szkole męzkiej w kolonii Huta Bankowa otwarte będą dwa oddziały równoległe. Roboty około budowy nowych gmachów szkolnych rozpoczną się na wiosnę.

— Wydział naukowy ministeryum komunikacyj wydał polecenie, ażeby uczniowie, kończący szkoły techniczne kolejowe, po odbyciu praktyki dwuletniej, składali egzamin specyalny w tej szkole, która patent im wydała.

— Ministeryum oświaty poleciło Towarzystwu ochrony zdrowia opracować program wykładu hygieny i zasad medycyny w szkołach średnich męzkich i żeńskich.

— Otwarto szkołę ogrodniczą w Warszawie przy ogrodzie Pomologicznym.

Koleje i komunikacye. Z d. 30 z. m. zaczęła obowiązywać na kolejach rosyjskich taryfa zniżona (kl. IV z prawem przejazdu w III) dla osób, pokąsanych przez wściekłe zwierzęta, do stacyj bakteryologicznych na kuracyę i z powrotem.

— W końcu listopada r. b. wprowadzona będzie komunikacya bezpośrednia: Petersburg-Warszawa-Wiedeń-Nizza z pominięciem Paryża, za pośrednictwem wagonów sypialnych Tow. belgijskiego. Podróż trwać będzie 64 godziny.

Przemysł i handel. Kilku większych właścicieli sadów w Królestwie Polskiem postanowiło zawiązać spółkę owocarską, z kapitałem 50,000 rs. Ma ona prowadzić handel hurtowy na wielką skalę z pominięciem sprzedaży drobnej, która była powodem upadku takiej spółki przed 8-miu laty. Kapitał 50,000 będzie rozdzielony na 200 udziałów po 250 rs.

— Bilans handlowy Rosyi po 13 z. m. zamknięto przewyżką wywozu w porównaniu z dowozem w sumie rs. 100 milionów.

— Ministeryum rolnictwa stworzy posady własnych agentów w Niemczech, Austryi, Francyi i Anglii.

— Czasopismo *Cincinati Price Current* donosi, że ze Stanów Zjednoczonych udali się dwaj agenci departamentu rolnictwa do Europy w celu zbadania przypuszczalnego wpływu kolei Syberyjskiej na wywóz pszenicy ze Stanów Zjednoczonych. Kolej Syberyjska, z chwilą otwarcia (1900 r.) ułatwi niewątpliwie zaopatrzenie rynków europejskich w tanie zboże syberyjskie, przetnie ona bowiem urodzajne okolice Syberyi. Po zbadaniu sprawy w Anglii, agenci Stanów Zjednoczonych udadzą się do Rosyi, a następnie wrócić mają do ojczyzny w celu zdania sprawy ze swej misyi rządowi.

— Ministeryum skarbu poleciło właścicielom fabryk i zakładów wystawiać w miejscach widocznych co tydzień sprawozdanie z obrotu sum powstałych z kar. Rozporządzenie to wynikło z pogłosek śród robotników, że fabrykanci przywłaszczają sobie tej sumy.

— W Petersburgu powstaje nowa instytucya finansowa pod nazwą „Bank północny.“

— Posady przy monopolu w Warszawie już są wszystkie zajęte. Wybrane osoby do sprzedaży trunków są to przeważnie wdowy po urzędnikach i wojskowych, mające te same kwalifikacye, co kolektorki loteryi klasycznej. Posady te w sklepach dzielą się na dwie kategorye: pierwsza z uposażeniem rs. 654 rocznie i rs. 200 na wynajem pomocy sklepowej, oprócz mieszkania, złożonego z 2 pokojów i kuchni, a druga kategorya osób, sprzedających w sklepach z mniejszym ruchem targowym, pobierać ma wynagrodzenie o 20% mniejsze od wymienionego, mieszkanie wszakże dla obu kategoryj jest jednakowe i przy sklepie. Kaucya od sprzedających jest bezwarunkowo wymagana.

Zmarli. Władysław Smólski, redaktor *Gazety Katolickiej* w Chicago.

Odpowiedzi Redakcyi.

X. Y. Z. w D. Pomysł dobry, wierszowanie ładne, ale obraz marzenia zamazany ogólnikami.

R. P. W wierszach Pani jest tylko rozumowanie, ale niema wcale poezyi.

Panu Bern. L. Ponieważ Pan obie prace porównał i zebrał dowody podobieństwa, a my byśmy dopiero wykonać to musieli i może bez przekonywającego rezultatu, prosimy przeto o łaskawe przesłanie nam szczegółowego zestawienia.

Pani H. L. Pomimo szczerej chęci nie możemy tu kreślić szczegółowego programu wychowywania i kształcenia dwojga dzieci. Pożądane wskazówki ogólne znajdzie Pani w podręcznikach pedagogicznych Baina, Spencera, Wolberga („Psychologia dziecka") itd., które dopełni każdy rozumny nauczyciel lub nauczycielka.

Pani Jad. Sem. Przesłane w imieniu Pani przez redakcyę „Ateneum" rs. 3 oddaliśmy według życzenia Biuru Nędzy Wyjątkowej.

Panu Wacł. Wr. Może Pan kiedyś będzie poetą, ale dziś nim nie jest. Nadesłane wiersze są płodami twórczości przedwczesnej.

H. S. z prowincyi. Nie ma tu nic do rozstrzygnięcia. Każdy może zwracać swoją dobroczynność, dokąd chce. Jeśli więc ktoś woli wspierać biedę miejscową, niż zamiejscową, niepodobna mu brać tego za złe. Wszakże co do biednych uczniów warszawskich pamiętać należy, że oni nie są dziećmi samej Warszawy, lecz całego kraju, zewsząd więc powinny płynąć składki na wpisy dla niezamożnych.

Panu S. R. Żałujemy, że autor, używszy w przykładzie nazwiska, które Pan nosi, sprawił Panu mimowolną przykrość. Ale jest to wypadek prawie nieunikniony. Ileż to pretensyj budzą powieściopisarze nazwiskami swych bohaterów ujemnego charakteru, chociaż zdawało im się, że wymyślili nieistniejące. W każdym również raporcie policyjnym ktoś odnajdzie swoje nazwisko między przestępcami.

Panu Gustawowi P. w Rydze. Jakkolwiek wytknięte przez Pana kalectwa i nowotwory w języku pism naszych nie należą do prawidłowych wyrażeń mowy polskiej, są one drobniutkimi grzechami wobec innych, okropnych: Z „pojawieniem, pomieszczeniem, bankiem dla handlu" itd. możnaby od biedy zgodzić się, ale z „przydzieleniem, obesłaniem (wystawy), wdrożeniem (śledztwa), manufakturą, konfliktem, wyrobami tabacznymi, tenorem (treść mowy" itd.) — daleko trudniej.

Prenumeratorce L. S. Oba cele są jednako zacne: pośredniczyć w użyciu nadesłanych pieniędzy chętnie będziemy i ogłosimy w *Prawdzie*.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 24 Октября 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.